Nr. 171. Lwów — Sobota dnia 27 Lipca. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 6 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 10 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Natalii P. — Kyryka i Wol.
Jutro: F. 8 po Św. — N. 8 po Sosz.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 4 m. 34
Zachód „ „ 7 „ 35

Długość dnia g. 15 m. 2
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Upraszamy naszych prenumeratorów z prowincyi o wczesne odnawianie przedpłaty. Wynosi ona na prowincyi z przesyłką pocztową:
Miesięcznie 1 zł. 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „
Zmiana adresu kosztuje 20 ct.

Przegląd polityczny.

Lwów 26 lipca.

Zwolna wynurza się obraz przyszłych politycznych skutków zbliżenia się Abbisynii do Rosyi, — owego zbliżenia się, pod które podwaliny rzucono teraz, podczas pobytu w Petersburgu nadzwyczajnego poselstwa negusa Menelika. Niedarmo poselstwo to tytułowało go oficyalnie samowładnym panem, królem królów etyopskich i koptyjskich, królem judejskim, władzcą wód morza Czerwonego, lubo te wody nie omywają brzegów jego państwa. Lecz omywać mogą, bo Menelik, wywodzący swój ród od owej potężnej królowej Saby, która po źródło mądrości jeździła do Salamona i władała całem afrykańskiem wybrzeżem morza Czerwonego, jest pełen ambicyi i może niedaremnej nadziei na poparcie Rosyi i Francyi. Wszakże w jego poselstwie było paru Somalisów, których ziemie przylegają do tego morza, a jeśli oni w niem byli, to widocznie uznają nad sobą jakieś zwierzchnictwo Abbisynii Kiedy to poselstwo przybyło do Petersburga, zainterpelowano w izbie włoskiej ministra spraw zagranicznych, jak ten fakt pogodzić z traktatem włosko-abbisyńskim, na mocy którego Menelik może utrzymywać międzynarodowe stosunki jedynie za pośrednictwem rządu rzymskiego. Minister zbył tę interpelacyę kilku zdawkowymi frazesami, jednak zapewne sam był zaniepokojony, skoro wezwał do Rzymu wielkorządzcę Erytrei jenerała Baratieri'ego. W Petersburgu zaś z powodu tej interpelacyi zauważono sucho, iż Rosya nigdy ani słówkiem nie zaznaczyła swej zgody na traktat włosko-abbisyński i dlatego nie myśli nim się krępować. A skoro w ten sposób ów traktat jest zakwestyonowany, to w stosunku do Rosyi w gruncie rzeczy nie istnieje i w ogóle nie ma wartości, bo cóż Włochom z tego, że jest on uznany przez te mocarstwa, które z Abbisynią nie utrzymują i nie zamierzają nawiązać żadnych stosunków. Wnet po przyjeździe do Petersburga Abbisyńczyków, zaczęto w Rosyi i we Francyi szeroko mówić o nowym afrykańskim sojuszniku, który może wybornie panować nad ujściem morza Czerwonego do Indyjskiego oceanu i w każdej chwili zamknąć to morze z południowego końca, jak Anglicy mogą je zamknąć z końca północnego, gdzie kanał suezki. Dalej zaczęto rozważać potrzebę uzbrojenia Oboku, który w środku długości Czerwonego morza, na afrykańskim jego brzegu, stanowi małą francuską kolonię. W końcu na papierze cały plan powstał: oto, z Oboku zrobiony będzie port wojenny, siedziba silnej eskadry francuskiej, a jednocześnie Rosya zajmie się organizacyą armii abbisyńskiej. Prowadzi to oczywiście do odebrania kanałowi suezkiemu znaczenia strategicznego. Anglia strzeże tego kanału jak oka w głowie i przeważnie dlatego zaokupowała Egipt, aby mieć zawsze — czy wojna, czy pokój — otwartą drogę do Indyi. I przez sam kanał będzie ją miała, cóż jednak z tego, skoro dalej, w okolicy cieśniny Guardafui, może powstać przy pomocy Rosyi i Francyi rogatka abbisyńska, zupełnie taka, jak Bosfor, lub Gibraltar. A jeśli słusznie się mówi, że posiadanie Indyi jest warunkiem angielskiej potęgi, to łatwo zrozumieć, jak olbrzymie ma dla Brytanii znaczenie plan rosyjsko-francuski postawienia Abbisynii na straży południowego końca morza Czerwonego.

Między Francyą a Brytanią jedynem jabłkiem niezgody jest Egipt, zaokupowany — zdaniem Francuzów — nieprawnie przez Anglią. Ta okupacya stanie się bezcelową, jeśli będą przeprowadzone plany względem Abbisynii, więc nie byłoby nic dziwnego, gdyby praktyczni Anglicy zrzekli się tej okupacyi, aby jeno odciągnąć Francyę od zamiarów, które powstały podczas pobytu poselstwa abbisyńskiego w Petersburgu. I oto, w londyńskim liście *Polit. Corr.* poruszono myśl usunięcia się Anglików z Egiptu. To pismo wiedeńskie, bezstronne względem wszystkich rządów, bywa stale przez wszystkie używane do podnoszenia myśli i projektów, za które się nie bierze oficyalnej odpowiedzialności. Są to tak zwane „balony próbne“, pomysły rzucane na zwiady, aby się przekonać, jak będą przyjęte i czy można rozpocząć oficyalnie zamierzoną akcyę. Otóż taki próbny balon wypuszczono ze sfer angielskich, stawiając zarazem warunki, pod jakimi Anglia ustąpi z Egiptu. Same te warunki wskazują, iż Brytania pragnie utrzymania wolnej drogi przez morze Czerwone.

Przytaczamy tedy ów list. „Przedewszystkiem — czytamy w nim — Anglia musiałaby zażądać gwarancyi neutralności Egiptu i utrzymania wpływu angielskiego na stosunki administracyjne i handlowe w tym kraju. Jednocześnie musi nastąpić znaczne wzmocnienie angielskiej eskadry na wodach w okolicy Egiptu i rozszerzenie, oraz wzmocnienie angielskich stacyi na morzu Czerwonem. Wymaga tego wzgląd na możliwość przywrócenia spokoju w Egipcie, w razie jakichkolwiek tam zaburzeń, oraz obrona drogi morskiej do Indyi. W zamian za opuszczenie Egiptu, Anglia niezawodnie zażąda od Francyi takich tylko ustępstw, które wprawdzie mają wartość dla Anglii, ale dla Francyi przedstawiają nader małą ofiarę. Takiemi ustępstwami są: zapewnienie Anglii górnego Nilu; uznanie angielskiej sfery interesów w środkowej Afryce, uznanej już przez Niemcy i Włochy; zezwolenie na zaprowadzenie komunikacyi między angielską południową i środkową Afryką przez państwo Kongo, oraz uznanie pretensyi angielskiej do terytoryum nadnigrowego. Wreszcie Anglia, uprzedzając życzenia Francyi co do Egiptu, mogłaby też mieć mieć pewne nadzieje ustępstw ze strony Francyi w Nowej Fundlandyi i w Syamie. Wreszcie, jako wstępny warunek ewakuacyi Egiptu, wymagane jest takie położenie rzeczy w Egipcie, któreby nie dostarczyło powodu do przypuszczeń, że Anglia pod jakimś naciskiem wycofuje swoje wojska. Takich zaś pozorów dostarczyćby mogło jakieś nieporozumienie z chedywem, lub zanadto demonstracyjna agitacya stronnictwa kolonialnego francuskiego.“

Tak się przedstawia angielska myśl, rzucona na zwiady. Możemy pominąć warunki co do Nowej Fundlandyi, Syamu, komunikacyi przez Kongo i t. d. Jest to litania dla kompletu. Głównem żądaniem pozostanie: władanie górnego Nilu i powiększenie angielskich stacyi na morzu Czerwonem, czyli zatrzymanie jakichś kęsów egipskiej ziemi. Oba te warunki podyktowała troska o wolną drogę morską do Indyi, bo posiadając terytoryum nad górnym Nilem, Anglia może w ciągłym szachu trzymać Abbisynią, a mając stacye okrętowe na morzu Czerwonem zdoła zawsze obronić kanał suezki.

Taki zwrot w stosunkach angielskich względem Egiptu dokonał się pod wpływem zbliżenia się Abbisynii do Rosyi.

Kiedy stanie się możliwą reforma gmin wiejskich w naszym kraju?

przez *Antoniego Wrotnowskiego.*

IV.

Jakoż, za lat 14 zostanie całkowicie umorzoną pożyczka zaciągnięta przez kraj na skup praw propinacyjnych — skutkiem czego:

1. Wpłynie wtedy do skarbu krajowego cały fundusz rezerwowy, zbierany przez krajową dyrekcyę propinacyjną. Fundusz ten dojdzie wtedy do tak znacznej cyfry, iż ona nie zostałaby nawet całkowicie wyczerpaną przez koszta utworzenia nowych okręgów administracyjnych i pierwotnego ich urządzenia.

2. Jednocześnie przejdzie, gdyż przejść powinien do rozporządzalności Sejmu coroczny dochód z licencyi na prawo detalicznej sprzedaży trunków na obszarze wiejskich gmin katastralnych. Wpływy kasowe do skarbu krajowego będą z tego źródła tak znaczne, iż ich część wystarczy na pokrywanie kosztów administracyi tychże okręgów.

Wprawdzie, w zasadzie, dochód z rzeczonych licencyi powinienby należeć do gmin, w których będzie dokonywaną detaliczna sprzedaż trunków. Powyższej jednak zasady nie naruszałoby orzeczenie Sejmu, powołujące Wydziały powiatowe do przeprowadzania w tym przedmiocie publicznych licytacyi, zachowywania składanych kaucyi i pobierania ceny za te licencye otrzymywanej. W celu uproszczenia formalności i umniejszenia korespondencyi, Wydział powiatowy powinienby z rzeczonej ceny czynić wydatki na koszta utrzymania wszystkich okręgów administracyjnych, utworzonych w powiecie; przewyżkę zaś odsyłać do skarbu krajowego na zasiłki dla takichże okręgów, w których dochód z rozprzedaży licencyi nie zdoła pokrywać całości kosztów ich utrzymania. Solidarność bowiem pomiędzy wszystkiemi gminami powinnaby pod tym względem znajdować zastosowanie. Tym zaś sposobem stawałoby się zadosyć samej zasadzie głównej, skoro wpływy za wzmiankowane licencye, szłyby — tak, jak ona wskazuje — na rzecz gmin w kraju, mających jednakowy interes i jednakowy cel, polepszenia działalności swych organów.

Należałoby zaś utrzymać metodę, przyjętą przez krajową dyrekcyę propinacyjną, dawania rzeczonych licencyi drogą licytacyi publicznych, zamiast dzielenia szynków na klasy i oznaczania na każdą z nich stałej ceny — gdyż ta ostatnia metoda, nawet przy największej liczbie klas, nie byłaby zdolną zapewnić ceny sprawiedliwej. Jakoż okazałoby się niejednokrotnie, że otrzymujący licencyę za stało oznaczoną cenę, nie płaciłby nawet połowy tego, co obecnie płaci do krajowej dyrekcyi propinacyjnej.

Rozrządzanie tym dochodem na ogólny pożytek kraju i na rozwój jego kultury należy do atrybucyi Sejmu i niepodobna przewidywać, aby rząd ze względu na swobodę zarobkowania, zechciał kłaść *veto* przeciw sposobowi w jakim Sejm uchwali pobór rzeczonych wpływów, i przeciw celom, na jakie wpływy te obracać przeznaczy. Wchodzi tu przecież w grę moralność publiczna, a więc najistotniejszy warunek rozwoju kultury krajowej. Detaliczna sprzedaż trunków we wsiach powinna być urządzoną i kontrolowaną w sposób niedopuszczający do rozpajania miejscowej ludności, i właśnie z tego względu przedmiot ten został zaliczonym do atrybucyi Sejmu krajowego, mającego stać na straży naszego samorządu. Rząd jest bezwątpienia władnym pobierać od szynkarzy opłaty konsensowe; nie miałby jednak podstawy zagarniać dochodu, jaki w gminach katastralnych przynosić może detaliczna sprzedaż trunków.

Nie mamy przeto obawy, aby projektowanemu przez nas przeznaczaniu tego dochodu na fundusz krajowy, a przedewszystkiem na koszta administracyi gmin wiejskich, cokolwiek mogło stanąć na przeszkodzie.

V.

Miałożby znowu, w celu przyspieszenia reformy gmin wiejskich, przyjść do niezwłocznego zeskontowania tych wpływów pieniężnych, jakich skarb krajowy może oczekiwać dopiero za lat kilkanaście? Taka operacya finansowa byłaby kosztowną i zarazem dla przyszłości szkodliwą, a w każdym razie niesprawiedliwą względem przyszłych pokoleń. Byłaby szkodliwą, gdyż nie mogłaby zostać przeprowadzoną bez znacznego kosztu, który spadłby znowu na kieszeń opodatkowanych. Byłaby również szkodliwą dla przyszłych pokoleń, których nie należy przecież na rzecz zadań obecnej chwili ogołacać ze środków pieniężnych, jakie tymże pokoleniom będą także potrzebne dla czynienia zadosyć innym obowiązkom publicznym, które na nie spadną. Pozbawienie ich rzeczonych środków byłoby więc nieuzasadnioną niesprawiedliwością.

Należałoby przeto, uzbroiwszy się w cierpliwość, przeczekać lat kilkanaście i dopiero po ich upływie rozporządzać dochodem, jaki zacznie wtedy wpływać do skarbu krajowego; skutkiem czego i samą reformę gmin wiejskich do owej chwili odroczyć, skoro na jej przeprowadzenie obecnie żadnych funduszów nie ma. Troskliwe zaś opracowanie tej reformy i zebranie wszystkich danych, w braku których nie mogłaby ona być całkowitą i od razu ukończoną, nie byłoby przecież rzeczą bezpożyteczną, ta zaś praca wymaga jeszcze kilku lat czasu.

Ta zwłoka jest bezwątpienia nieprzyjemną. Pocieszać jednak powinna myśl, że jeżeli lat kilkanaście jest w życiu jednostki okresem istotnie znacznym, w życiu przecież narodu i w rozwoju jego kultury okres ten jest chwilą bardzo krótką.

Każdemu zaś, ktoby miał oburzać się na tę zwłokę, odpowiemy, że w obecnym stanie naszych stosunków ekonomicznych jest ona nieubłaganą koniecznością. Przyspieszanie bowiem reformy, na którą nie ma odpowiednich środków pieniężnych, musiałoby spotęgować obecną kryzys rolniczą. Posiadacze większej i średniej własności ziemskiej, pociągnięci do znacznych na koszta tej reformy opłat, byliby w przyspieszonem tempie doprowadzeni do zupełnego upadku; włościanie zaś, masami o wielekroć liczniejszemi niż dotychczas, szukaliby wtedy chleba po za krajem i po za oceanem.

Taki rezultat mógłby wprawdzie być radośnie przyjętym przez stronnictwa przewrotu; jest jednak rzeczą widoczną, że nie dałby on pogodzić się ani z dobrze zrozumianym patryotyzmem ani z interesem ogólnym społeczeństwa krajowego.

Dnia 16 lipca 1895.

Antoni Wrotnowski.

Korespondencye.

Londyn, 22 lipca.

(T.) Chociaż wybory do przyszłego parlamentu trwać będą jeszcze cały tydzień, (kończą się dziś właśnie ogromnem zwycięstwem unionistów. *Przyp. Redakcyi*) obecnie można ich ostateczny rezultat uważać jako niepodległy żadnym zmianom. Rezultat ten zaskoczył opinię publiczną niespodziewanie. Nikt, nawet najlepiej z krajowymi stosunkami obeznany nie mógł przewidzieć rozmiarów klęski, jaką stronnictwo postępowe poniosło. Przypuszczano, że stronnictwo zachowawcze rozporządzać będzie w Izbie Gmin większością jakich 30 głosów, co jużby było samo przez się pokaźnym sukcesem, biorąc na uwagę, że trzeba było wprzódy znieść dawniejszą nierówność 28 głosów. Zamiast 30 ma już do tej pory ministeryalna partya 108 głosów większości, a nie ulega wątpliwości, że większość ta wzniesie się do 120, a może nawet do 150 głosów.

Nie porażka to tedy, ale istotna klęska, cios, który tylko przy energicznych, niestrudzonych wysiłkach, w długim szeregu lat powetować będzie mogło stronnictwo postępowe. Dzisiaj, gdy walka jeszcze nieskończona, niepodobna rozeznać się i ocenić jednym rzutem oka rozmiarów porażki. Nie ma nawet czasu liczyć trupów i pokrzepiać rannych.

Nie wiedzieć doprawdy od czego zacząć w tym żałobnym przeglądzie. W stolicy, wybierającej 59 deputowanych, będzie tylko 8 liberalnych; reszta należy do koalicyi ministeryalnej. Całe prowincye, jak n. p. potężny Lancashire przeszły ryczałtowo do obozu zachowawczego. Wielkie miasta jednogłośnie zaciągnęły się do tego samego sztandaru, zrywając węzły rzekomych tradycyi; drobne miasta poszły w ich ślady, a obecnie w te same szlaki zdążają wiejskie okręgi. Nawet te części kraju, które były uważane jako niewzruszona opoka liberalizmu, jak Szkocya albo księstwo Walii, pozwoliły wtargnąć w swe zagony przeciwnikowi. Tam, gdzie się jeszcze liberalny kandydat utrzymał, stało się to przy zmniejszonej o wiele liczbie głosów.

Niepodobna czynić sobie najmniejszych złudzeń, albo sztucznymi argumentami osłabiać istotnego znaczenia wyborów. Pobici otwarcie się też przyznają, że przegrali kampanię i nie zostaje im inna pociecha jak przypuszczenie, że kiedyś dobra znowu dla nich zaświta dola. Ale nawet to nie zdaje się być pewnem, ani bliskiem. Wymagać będzie długiego szeregu lat, nieprzerwanej propagandy i dzielnego dowództwa, aby wyprzeć szczęśliwego rywala ze stanowisk, w które się wdarł i na których ma wszelkie widoki pozostać.

A jeżeli o dowódzcach mowa, to postępowcy stracili swych najprzedniejszych. Na samym początku walki legł Sir William Harcourt, wódz naczelny, prawa ręka Gladstona, przewodnik liberalnego stronnictwa, w Izbie Gmin. Nikomu na myśl nie przychodziło, żeby wyborcy w Derby, które reprezentował od lat 12 i gdzie posiadał większość paru tysięcy głosów, odrzucili go. A stało się to jednakże! Wprawdzie jeden z jego stronników ustępuje mu swego zapewnionego okręgu wyborczego w Walii i William Harcourt niezawodnie wybranym zostanie powtórnie, ale nie zagładzi to moralnej doniosłości doznanej porażki. Inni członkowie dawniejszego rządu dzielą smutny jego los. Wyborcy odrzucili Shaw-Lefevre'a, Hilbert'a, Arnolda Morley'a, odrzucili nawet Johna Morley'a, jedną z największych potęg umysłowych, chlubę intellektualnej Anglii. Jeżeli Sir William Harcourt może swoją porażkę przypisać gwałtownej nienawiści, jaką wzbudził u szynkarzy i piwowarów, na których przywileje się targnąć poważył, to John Morley wyciągnięty został ze swego stanowiska w Newcastle wskutek opozycyi, czynionej mu przez przedstawicieli partyi robotniczej, na której socyalistyczny program nie chciał się pisać. Wielu znakomitych polityków, mężów stanu, głośnych specyalistów, gwiazdy pierwszorzędne — odrzucone zostały pogardliwie przez masę wyborczą. Herbert Paul, Fletcher Moulton, Sir Tomasz Roe, Lord Spencer etc przestali być członkami parlamentu,

---

36)

NA SŁUŻBIE

POWIEŚĆ

ZOFII KOWERSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Juliusz właśnie wprowadzał Kocię w koło tańczących, gdy drzwiami od werandy weszła Alina a z nią Stefan. Juliusz spotkał wzrok matki mówiący z pewnym tryumfem:

— A widzisz!

Alina podążyła do fortepianu i zastąpiła przy nim Zdzisława, którego siły bardzo były potrzebne do mazura, gdyż jeszcze dwie panny czekały na danserów. Stefan usiadł obok Aliny.

— Stefan! — zawołał Juliusz — jeszcze panna Radłowska nie ma dansera!

— Jestem tak źle traktowany przez danserki, że straciłem zupełnie odwagę wszelką. Panna Stamarska tylko co mi odmówiła, nie śmiem się więc posunąć do panny Radłowskiej i tu przy fortepianie pokutę odprawiać zamyślam!

— Proszę cię, bez żadnych żartów! Idź i tańcz! Przecie panny siedzieć nie mogą.

Juliusz spojrzał na niego tak surowo, że go ochota do żartów odstąpiła. Pobiegł ku danserce, którą mu przeznaczono. Ale podczas tańca innych par, znowu się tak zdarzyło, że obok grającej Aliny siedział z jednej strony Prędowicz, z drugiej Stefan. Juliusz zbliżył się, oparł się o ścianę i chłodząc twarz chustką, nasłuchiwał rozmowy toczącej się przy fortepianie.

— Tak pani, sama ewangelia to nakazuje — mówił Stefan — Wacław jest też pewno tego zdania. „Nie ukrywaj światła pod korcem“, nie chowaj skarbów twoich. Pani jest doprawdy nielitościwa dla nas i skąpa jak Harpagon! Nie prawdaż, Wacławie? Żeby też włożyć suknię pod samą szyję! Należał nam się doprawdy mały wycięty klinik lub kwadracik... Takie okienko otwarte na dary Boże najpiękniejsze!

Alina uderzyła mocno basowe akordy mazura i nawpół tylko słyszała słowa Stefana, który mówił dalej:

— Pani milczy, więc pani przyznaje się do winy!... pani uznaje, że się nam należało takie okieneczko i jutro nam je pani otworzy.

— Mnie się zdaje, że wcale co innego ci się należy Stefanie — ozwał się nad uchem przedsiębiorczego młodzieńca głos surowy Juliusza. — Strzeż się! To, co ci się należy, możesz łatwo otrzymać!

— A temu co się znowu stało? — zawołał Stefan z komiczną zgrozą.

— Odejdź stąd! Pannie Stamarskiej utrudniasz swobodę ruchów! I tak się już męczy grając, a tu tak gorąco, że się udusić można.

Stefan wstał i odciągając Juliusza na stronę ze śmiechem i domyślnym wyrazem twarzy, ozwał się, mrugając jednem okiem na sposób łobuzów warszawskich:

— Co, nie dobrze ci się robi, gdy ja koło niej siedzę? Prawda, że dyabelnie ładna ta dziewczyna! Czy ona-by tak przypadkiem nie chciała trochę świata zobaczyć... trochę się przejechać... Ale nie wejdę ci w drogę, jeżeli ty...

Wyraz twarzy Juliusza stał się tak surowym, że aż przyprawił o zmieszanie śmiałego młodzieńca.

— Słuchaj, Stefanie! — rzekł Juliusz głosem, w którym drżał gniew. — Ta dziewczyna jest mi niczem i nigdy niczem nie będzie, ale jest w domu naszym i mam sobie za obowiązek nakazać ci dla niej poszanowanie. Ton, który z nią przybierasz, jest nieprzyzwoity i proszę, byś go zmienił. Inaczej, będę cię musiał prosić o opuszczenie Zbrucza. Będzie to z mej strony niegościnnie, ale uczciwie.

— Robisz wielkie rzeczy z niczego! — rzekł Stefan z niecierpliwością. — Przecie ci się ta panna nie skarżyła na mnie? Wierzaj mi, że ona jest bardzo rada, że się koło niej kręcę. Rozrywa to nudę, która ciąży na życiu nauczycielek. I przecie jej to pochlebia, że ktoś ocenia jej wdzięki. Na co by się zdała kobiecie piękność, gdyby nie przyciągała?

— Czy myślisz się o nią starać? — zapytał Juliusz poważnie.

— Ja, starać?! Przecie jestem przy zdrowych zmysłach!

— A gdyby ona twoje piękne słówka wzięła za dowody miłości?

— Niech je tak bierze! To właśnie ślicznie! Niech sądzi, że ginę z miłości dla niej!

— A gdyby się w tobie zakochała?

— Doskonale! Nic przyjemniejszego, jak widzieć rozkochane spojrzenia pięknej panny, spoczywające na sobie. Miłość jest to taki sznureczek, za który daleko dziewczynę poprowadzić można.

— Stefanie! — zawołał groźnie Juliusz.

— No, co? Boisz się o jej cnotę?

— Nic a nic! Ale chcę wierzyć, żeś w tej chwili żartował, żeś nie mówił ze szczerym cynizmem, żeś więcej wart niż twoje słowa!

— Albo to ja jeden taki? Alboś ty sam więcej wart ode mnie?

W tej chwili jedna z panien wyciągnęła rękę do Stefana i zabrała go do figury. Juliusz został z sercem pełnem gniewu, goryczy i upokorzenia zarazem.

„Alboś ty sam więcej wart ode mnie?“

Może był więcej wart w dążeniach, w zasadach, ale jakie były jego czyny? Oto był na drodze do popełnienia ohydnego kłamstwa wobec Boga, ołtarza, ludzi i wobec istoty niewinnej a okłamanej bezwstydnie!

Spojrzał na Kocię, która w tańcu bardzo bladą się stawała, i poczuł się pełnym litości dla niej. Biedne, wychuchane, wypieszczone stworzenie, skazane na to, by jej nigdy nie pokochało serce człowieka, którego usta z rozkazu, z obowiązku, z litości, mówić jej będą o przywiązaniu. Może ona na nie zasługiwać będzie, ale to nic nie zmieni tej strasznej rzeczy: przymusu i kłamstwa, praktykowanego codziennie przez całe życie!

Spostrzegł błagalne spojrzenie Aliny, zwracającej się ku niemu od fortepianu:

— O, proszę, tylko żadnej historyi z mojej przyczyny! — szepnęła mu, gdy się ku niej pochylił — proszę mię tu nie podawać na języki tych wszystkich obcych ludzi! Nikt mię tu nie zna! Gotowi pomyśleć Bóg wie co o mnie. Sama sobie dam radę z niesmacznymi żartami pana Skierki!

— Nie będzie żadnej historyi. Niech się pani nie boi!

— Gdyby pan wszakże mógł...

— Wszystko mogę.

— Gdyby pan mógł zabrać sobie mego drugiego prześladowcę.

Juliusz odszedł, a po chwili skinął na Prędowicza i wyprowadził go pod pierwszym lepszym pozorem.

Alina odetchnęła. Było jej lekko na sercu. Pozbyła się przykrego uczucia, które ją prześladowało od powrotu z Krasnowostoku. Więc Juliusz Skierka był zawsze dla niej tym przyjacielem, którym być obiecywał? Miała więc w jego duszy kącik, w którym nie zgasła obudzona niegdyś sympatya? O, doprawdy, życie nie było tak twarde, jak o niem mówiono! Dziewczyna biedna, jak ona, mogła dla rodziny swej zarabiać, mogła u obcych ludzi znaleść takie serca, jak serce Leontyny, Juliusza, Michasia, jak biedne wiecznie zalęknione i dyplomatyzujące uczucie Mieci! Miała oto w sercu wspomnienie radości uczynionej ojcu, a za miesiąc rzuci się w objęcia matki, uściska swoje ukochane siostrzyczki, swoich braci! A prybędzie do tej rodziny nie z próżnemi rękami; będzie mogła trochę dostatku i przyjemności wnieść pod ten dach, gdzie teraz wiedziano, co to jest odmawianie sobie nietylko kwiatów i cukierków, ale nawet masła do rannej i wieczornej herbaty. Matka pisała właśnie o tej oszczędności, którą podniebienie jej odczuwało z przykrością. Tańczące towarzystwo byłoby uznało Alinę za bardzo dziecinną, gdyby przeczuć mogło, że myślała w tej chwili o tem żółtem, doskonałem maśle litewskiem, którego kilka funtów kupi od Mierznickiej i które zawiezie matce i tym smakoszom, Jasiowi i Stasiowi.

Ręce Aliny machinalnie wciąż bębniły mazura, a myśl jej była wśród rodziny. Jakto przetrwać wakacye bez ojca? Czy to może być, by on tak całymi miesiącami tęsknił za nimi wszystkimi? Możeby choć chłopcy tam pojechali? Oni tak potrzebują przykładu tego pracowitego, tego poświęcającego się ojca! Niech się dla własnej moralnej korzyści przyjrzą jego życiu?...

Tańce szły doskonale, ale Kowzgirdowa prosiła, by już był koniec zabawie, by córka jej mogła pójść do łóżka. Jedna z sąsiadek Zbrucza, pani Radłowska, zapraszała na wieczorek do siebie za dwa dni. Zbliżyła się do Aliny:

— Pani będzie też łaskawa przyjechać z panią Skierczyną.

Alina odpowiedziała grzecznie, że, jeżeli będzie mogła...

— Ale ja bardzo proszę — mówiła Radłowska — pani Skierczyna mi też przyrzekła, że wpłynie na panią.

— Czy będzie potrzebna moja muzyka? — zapytała Alina.

— Ach, nie. Jabym właśnie chciała, by się pani wytańczyła. Pani cały prawie wieczór dziś grała! My mamy organistę, który przyjeżdża, gdy go się wezwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

do którego natomiast weszło mnóstwo podrzędnych, całkiem nieznanych osobistości.

Samego faktu porażki postępowego stronnictwa nikt zaprzeczyć nie może, ale każdy inaczej jej powody tłumaczy. Nie jedna, lecz wiele przyczyn na nią się złożyło. Wystarczy dotknąć ich w przelocie.

Pierwszym bez wątpienia było ustąpienie od steru Gladstona. Brak tej wielkiej, olimpijskiej osobistości dał się czuć stronnictwu, które nie posiadało ani jednolitości, ani rygoru i karności. Zamiast iść ręka w rękę, rozbiło się stronnictwo na drobne frakcye, z których każda swego czciła dowódzcę. Rażący przykład tego niesfornego prowadzenia kampanii wyborczej dał nie kto inny jak sir William Harcourt. Ponieważ jego urzędowy zwierzchnik przed wyborami wskazał jako hasło wojenne reformę izby lordów, on, chcąc pokazać swoją od niego niezależność, sprawę tę pominął i cały nacisk położył na reformie wyszynku trunków. Źle zrozumiany przez masę ludową, a nienawistny klasom, które w interesach materyalnych dotykał, bill sir Williama, o który uporczywie walczył, stał się skałą, o którą rozbiła się nawa jego i nawa tych, co poszli w jego ślady. Przykładów tego braku dyscypliny było wiele.

Drugą przyczyną utraty wielu okręgów wyborczych był rokosz, jaki przeciwko liberalnemu hufcowi podniosło stronnictwo robotnicze, przedtem stanowiące jego przednią radykalną straż. Rozdrażnieni niedostatecznem uwzględnieniem swych interesów, robotnicy o socyalistycznych tendencyach, pod dowództwem kolektywisty i anarchisty Keir Hardiego, oświadczyli, że zajmą przy wyborach stanowisko niezależne i że wystawiać będą, gdzie się to tylko da, swych własnych kandydatów. Łatwo zrozumieć, że było to torysom na rękę. Ponieważ stronnictwo robotnicze nie miało funduszów na tę bratobójczą wojnę, komitety wyborcze torysów dostarczyły im zapomogi, którą powszechnie podają na 10.000 fst. (250.000 zł.) I wystawiali też robotnicy swych kandydatów tuzinami. Nie przeprowadzili ich wprawdzie i wielu z nich (a między innymi sam Keir Hardi) osiadło na koszu, ale natomiast udało się im w jakich dwudziestu okręgach wyborczych ułatwić zwycięstwo torysom.

Najważniejszym wszelako błędem liberalnego stronnictwa było rozdrażnienie wielce potężnych warstw społecznych, nieuwzględnienie wielu interesów materyalnych. Chcieli wyemancypować Irlandyę i obruszyli na się patryotów, którzy nienawidzą Irlandczyków. Chcieli znieść monopol kościoła państwowego w Walii i oto całe duchowieństwo anglikańskie, w obawie o utratę swego urzędowego stanowiska, stanęło przeciwko nim. Na zapowiedź, że chcą skruszyć wszechwładzę dziedzicznych prawodawców Izby lordów, podnieśli przeciwko sobie całą potężną kastę arystokracyi rodów i pieniędzy. Mowa już była o reformie szynków i to podniosło szynkarzy. Niższe klasy towarzyskie, w przekonaniu, że ich szynki będą przerzedzone i że ich gwałtem do wstrzemięźliwości pchać będą, przyłączyły się do nieprzyjaciół liberalnego stronnictwa. Mając przeciwko sobie arystokracyę, kościół państwowy, piwowarów, szynkarzy, — że już nic o przeciwnikach samorządu irlandzkiego się nie powie, — rozdrażnili cały nieledwie naród. Jak mówią tutaj: niepodobna jest prowadzić kilku czterokonnych pojazdów jeden obok drugiego rzędem przez ciasną bramę. Nietylko, że tych licznych projektów prawodawczych nie przeprowadzili, ale wywołali przeciwko sobie koalicyę wyjątkowej siły.

Legło tedy stronnictwo postępowe i razem z niem wszystkie wielkie kwestye, które stały na porządku dziennym w ostatnich latach. Podczas gdy zachowawcza partya znajdować się będzie u steru władzy, będą się mogli ich pobici przeciwnicy zorganizować, skupić pod nowymi wodzami i przygotować metodę przeprowadzenia w przyszłości swej polityki. Ten peryod próby i walki opozycyjnej będzie dla nich wielce użyteczny. Jest to nieporównanem dobrodziejstwem angielskiej konstytucyjnej ustawy, że zostawia swobodę ruchów obu współzawodnikom, że obu jednakowo do politycznego życia uzdalnia, a że tego do przewodnictwa powołuje, który w danej chwili najlepiej opiniom większości narodu odpowiada.

Będziemy tedy w przyszłej parlamentarnej kadencyi mieli u władzy lorda Salisburego i jego partyę. Stawiają tedy sobie wszyscy pytanie, jaka będzie linia wytyczna tego rządu. O nastroju, o duchu partyi, takim, jakim się w historyi ukształtował, wątpliwości nie ma, ale istnieje wielka co do jego przyszłej polityki, skoro oprócz zwykłych zmian, jakie sam bieg czasu sprowadza, muszą jeszcze zajść te, jakie wywoła wejście gromadne do organizmu torysów innogatunkowego ciała — zbiegów z liberalnego obozu, z których wielu wyznaje opinie radykalne i socyalistyczne, wręcz tradycyom torysowskim przeciwne. Będzie nieuniknionem, że nastąpi metamorfoza mniej lub więcej kompletna, ale pytanie tylko jaka.

Nigdy większa niepewność nie istniała co do przychodzącego do władzy rządu. Lord Salisbury nie wyłuszczył żadnego programu wyborczego, nie wziął żadnych zobowiązań, nie uczynił żadnych obietnic. Naród wziął go po prostu, w przekonaniu, że będzie działał inaczej, lepiej, aniżeli jego poprzednicy. Nigdy jeszcze w dziejach nowoczesnej Anglii rząd nie miał takiej *carte blanche*, jaką ma teraz lord Salisbury. Ci, co go przezywają „królem Salisbury" żartują niby, ale w gruncie wiedzą dobrze, co mówią. Z dwóch Izb parlamentu lord Salisbury posiada, że tak powiem, jako prywatną własność całą Izbę lordów, z którą zrobić może co zechce, która ślepo pójdzie za nim, gdzie jej iść każe, a w Izbie gmin posiadać będzie tak liczną, tak potężną większość, że opozycya nie będzie się mogła żadnemu z jego projektów sprzeciwić. Jest to w ręku władzy wykonawczej potęga, która najlepszym umysłom zachowawczego obozu daje wiele do myślenia. Są tacy, którzy znajdują że siła stronnictwa rządowego jest już zbyt wielka i że nie zaszkodziłoby mieć liczniejszej opozycyi, czyli ściślejszej kontroli.

Ale, jak samo się przez się rozumie, ogół stronnictwa, które tak świetne odniosło zwycięstwo, jest innego zdania i nie ma zamiaru ubolewać, że *la mariée est trop belle*. Jest jednak jedna uwaga, którą robiono zrazu po cichu, a która obecnie jawnie i licznie wypowiadaną bywa. Przed wyborami lord Salisbury dał p. Chamberlainowi i jego grupie cały szereg pozycyi ministeryalnych i rządowych, które miały odpowiadać wrzekomej sile tych sojuszników.

Tymczasem pokazało się, że torysi sami, bez najmniejszego udziału liberalnych unionistów, dali sobie radę z postępowcami i posiadać będą nad nimi przeważną większość. W takim stanie rzeczy, powiadają torysi, sojusz z Chamberlainem, który zdradził wszystkie partye do jakich należał i który faworyzuje socyalistyczne reformy, nienawistne zachowawcom, jest sam w sobie błędem, a politycznie okazał się zbytecznym. Dają tedy do zrozumienia lordowi Salisburyemu dwie rzeczy — naprzód, ażeby odebrał kilka posad rządowych zausznikom Chamberlain'a, a potem, ażeby nie kwapił się z wprowadzeniem w czyn owego socyalistycznego programu, który jest jedyną racyą bytu Chamberlaine'a w sferach rządowych.

Z tych dwóch rad można być pewnym, że lord Salisbury nie posłucha pierwszej. Nie pozwala mu na to honor, a nawet prosta uczciwość. Sojusz znajduje się w każdym razie obecnie jeszcze w swych miodowych miesiącach i nikt jego niedogodności nie doświadczył. Jeśli, jak to przewidzieć łatwo, w przyszłości, nieporozumienia zajdą pomiędzy przedstawicielami grup odmiennych zasadami i metodą działania, to zmiana w łonie ministeryalnem ta lub owa dokona się z łatwością, bez żadnego przełomu gwałtownego.

Druga rada, ta, ażeby rząd nie przeprowadzał socyalistycznych reform, narzuconych mu przez p. Chamberlain'a, jest daleko łatwiejsza do uskutecznienia. Cały świat wie, że osobiście margrabia Salisbury i grono magnatów, które wraz z nim przyszło do władzy, nie czuje żadnej nieprzezwyciężonej sympatyi do tych reform, i nikomu na myśl nie przychodziło, ażeby gorączkowo do ich urzeczywistnienia się zabierać. Nie potrzeba tedy będzie kłaść hamulca na ich reformatorski zapał. Rzeczy zresztą ułożą się same przez się do ładu. Obecnie, po dokończonych wyborach, Izba zbierze się na krótką sesyę, zapełnioną jedynie uregulowaniem bieżących spraw. Potem nastąpią wakacye, trwające od września do lutego. Za pół roku tedy dopiero trzeba będzie wypłacić te weksle wystawione przez p. Chamberlain'a. Wiele wody upłynie w Tamizie do tej pory! A zresztą po otwarciu parlamentu stanie przed nim coroczny etat, ta lub owa sprawa publiczna nagląca o rozwiązanie. Członkowie rządu zobowiązali się najuroczyściej przedłożyć bill o uregulowaniu stosunków gruntowych w Irlandyi. On sam zajmie niemało czasu. Oprócz tego będzie rząd musiał zaspokoić niejedne inne wymagania Irlandczyków, choćby tylko dla udowodnienia, że nie myśli ich prześladować i ciemiężyć.

Wszystko to odłoży owe reformy radykalne, zapowiadane przy odgłosie bębnów przez p. Chamberlaina, do kalend greckich. Zwłoka zresztą zaszkodzić im nie może. Wiemy, że były to pomysły chwiejne, mgliste, trzęsące się na glinianych nogach. Wypadnie przejrzeć je, oczyścić z chimer, dać im materyalną podstawę. Dla emerytalnych pensyi, które on proponuje, aby płacić wszystkim osobom płci obojej liczących 65 lat życia, trzeba będzie znaleźć fundusze; dla obdarowania wszystkich robotników domami, w których zamieszkują, trzeba będzie zmienić prawa rządzące własnością gruntową. Caetera censeo. Nie potrzeba tedy być wielkim prorokiem, aby przewidzieć, iż ten i ów z artykułów p. Chamberlain'a straci w drodze siły żywotne i że bez żadnego wielkiego wysiłku lord Salisbury potrafi go na bok usunąć. Powołując jego stronnictwo do władzy, kraj czuł potrzebę spoczynku, odetchnienia po wielkich przewrotach, albo dokonanych przez postępową partyę, albo przez nią projektowanych. Tego odpoczynku lord Salisbury i jego koledzy nie będą czuli potrzeby mu odmówić, i z jakiegokolwiek za patrywałoby się na to stanowiska, nie można powiedzieć, aby nie mieli po swej stronie słuszności.

Zakład pracy domowej i gospodarstwa kobiecego w Zakopanem.

W chwili, kiedy się podnoszą coraz częściej i coraz głośniej u nas żądania wyższego wykształcenia dla kobiet, to pod postacią dopuszczenia ich do uniwersytetu, to utworzenia specyalnego zakładu, w, którymby po odbyciu zwykłych nauk w szkołach lub pensyonatach, mogły zaokrąglić swe wiadomości, warto podnieść, iż istnieje już zakład, dający to uzupełnienie, co prawda w jedynym tylko kierunku, mianowicie praktycznym. Mówimy o „Zakładzie pracy domowej i gospodarstwa domowego" prowadzonym przez hr. Zamoyską w Zakopanem. Godzi się o nim wspomnieć z wielu jeszcze innych względów, bo nie tylko dla podniesienia i zaznaczenia zasług założycielki, z poświęceniem pracującej nad wykonaniem, myśli aby krajowi dostarczyć jak najwięcej dobrych gospodyń, ale dla tego umoralniającego wpływu, jaki na społeczeństwo wywiera zawsze przykład dodatniej inicyatywy prywatnej i wreszcie dla tego, że wśród tak częstych obecnie u nas utyskiwań i dyskusyi nad upadkiem gospodarstwa domowego, trzymających się jednakże dotychczas przeważnie tonu ujemnej krytyki, sam przegląd krótki urządzenia i programu zakładu hr. Zamoyskiej, będzie stanowił głos dodatni, bo z niego ogół niejedną wskazówkę i doświadczenie do programu naprawy wziąć będzie mógł.

Jak powiedzieliśmy, celem Zakładu jest wychowanie dobrych praktycznych gospodyń, dlatego też zakład nie jest teoretyczną szkołą, ale miejscem, gdzie uczenice mogą praktycznie wciągnąć się w przyszłe zadania gospodyń. Dlatego-to do zakładu przyjmuje się panienki po ukończeniu zwykłego, ogólnego wykształcenia, którego znów tam nadal się nie zaniedbuje. Ponieważ wreszcie potrzeba dobrych gospodyń daje się odczuć we wszystkich warstwach u nas, więc też zakład dzieli się na trzy oddziały, odpowiadające mniej więcej trzem różnym pod względem zamożności warstwom społecznym.

Praca około gospodarstwa w zakładzie, ma z uczenic uczynić w przyszłości dobre gospodynie, inne nauki i rozmowy pod kierownictwem założycielki czynią z nich inteligentne kobiety, a głęboki nastrój patryotyczny panujący w zakładzie, rozwija to uczucie, które do końca życia wyziębić się nie da.

Cel więc jest ściśle określony i ku temu celowi prowadzi się uczenice konsekwentnie, mimo jednak tego i mimo ścisłego nadzoru nad ich pracami, nie uczuwają one żadnego przymusu, bo w zakładzie przedewszystkiem też rozwija się poczucie obowiązku. A obowiązki uczenic określa regulamin ogólny i specyalny, który każda z nich sobie odpisuje, w nich więc same znajdują wskazówki, jak i co powinny uczynić.

Jak powiedzieliśmy, Zakład dzieli się na trzy oddziały.

Do oddziału I-go należą uczenice, które, mając byt zabezpieczony, nie potrzebują nabywać wprawy w pracy, ale powinny mieć pojęcie o każdej części gospodarstwa kobiecego i robót właściwych. Dla tych nauka trwa rok jeden. Zazwyczaj jednak uczenice same dobrowolnie ją przeciągają, bo wraz z zamiłowaniem pracy przychodzi chęć wykształcenia się w obranych gałęziach.

Koszt utrzymania w oddziale I-ym wynosi miesięcznie 50 zł. Godziny ranne poświęcone są zajęciom gospodarskim w kuchni, mleczarni, piekarni, spiżarni, pralni i podwórzowem gospodarstwie, p obiednie zaś nauce muzyki, śpiewu, nauce szycia, hafiu, kroju, czytaniu dzieł poważniejszej treści, nauce religii, rachunkowości gospodarskiej i t. p.

W oddziale II-im nauka trwa od jednego do trzech lat, stosownie do tego, co uczenica po ukończeniu kursu robić zamierza. Utrzymanie miesięczne 25 zł.

Uczenice tego oddziału oddają się zajęciom gospodarskim dzień cały, lub poświęcają im tylko godziny ranne, stosownie do woli rodziców czy opiekunów, w poobiednich zaś zajęte są w takim razie pracą nad uzupełnieniem wykształcenia ogólnego.

Muzyka i języki nie wchodzą właściwie w zakres zakładu, jednak, ażeby panienki nie traciły w czasie pobytu w zakładzie tego, co poprzednio nabyły, mają na miejscu doskonałe lekcye muzyki, śpiewu, języka angielskiego i francuskiego i ciągłą możność wprawy w tych dwóch językach bezpłatnie. Tylko lekcye muzyki są oddzielnie płacone po 1 zł. 50 ct. za godzinę.

W oddziale III-cim nauka trwa od trzech do pięciu lat. Tu wymagane jest świadectwo doktora, że wchodzące uczenice mają siły odpowiednie do pracy fizycznej. Utrzymanie wynosi 10 zł. miesięcznie.

Ponieważ oddział ten składają przeważnie dziewczęta, które z pracy tej żyć będą musiały, przeto każdej gałęzi gospodarstwa domowego poświęcają czas dłuższy. I tak: Nauka kucharstwa trwa miesięcy 3, piekarstwa i mleczarstwa 2, w spiżarniach i piwnicach 2, w oborze, chlewkach i kurnikach 2, prania, prasowania, składania i maglowania 6, białego szycia, haftu, cerowania 12, krawieczyzny i gorseciarstwa 8.

Prócz tego mogą się uczenice obeznać z ogrodnictwem warzywnem, apteką, introligatorstwem i cokolwiek z szewstwem. Kilka godzin tygodniowo przeznaczonych jest na naukę religii, rachunków, oraz na śpiew i rysunki, o ile uczenice mają do tego zdolności.

Każdy rodzaj pracy ma swoje teoretyczne przepisy, oparte na nauce i doświadczeniu.

Do oddziału I-go i II-go wchodzą panienki po ukończeniu lat 16-tu, do III-go między 14-tym a 18-tym rokiem.

Nietylko uczenice oddziału III-go przykładają ręki do prac wszelkich, uczenice dwóch pierwszych działów pracują na równi z niemi w zajęciach, do których są przeznaczone i uchylić się od żadnej pracy nie mogą, o ile siły ich na to pozwalają. Uczenice wszystkie bez wyjątku same sobie wystarczyć muszą; z kolei we właściwym oddziale utrzymują kredens, usługują koleżankom przy stole, sprzątają sypialnie i t. p.

Jakkolwiek zatem w utrzymaniu uczenic jest różnica, bo każda z nich ma życie odpowiednie do tego, jakie w domu rodzicielskim znajduje, to przecież praca jednoczy i równa je wszystkie. A nawet, ponieważ kierowniczkami i właściwemi nauczycielkami są uczenice oddziału III, które przebywają lat 5 w zakładzie i odznaczywszy się sumiennością w pracy i wyższemi zdolnościami, zasłużyły na wyróżnienie, panienki, należące nieraz do najpierwszych rodzin w kraju, słuchać ich i ulegać ich woli bezwzględnie muszą, ucząc się tym sposobem cenić człowieka nie według tego kim jest, ale jakim jest.

Dobrzeby więc było, gdyby powstały jeszcze ze dwa takie zakłady, w różnych stronach kraju, może z odmiennymi nieco programami, byle kładły nacisk na praktyczne wykształcenie, a większąby to korzyść przyniosło, niż nieskończone rozprawy bezowocne o wyższych naukach dla kobiet.

KRONIKA.

Lwów 26 lipca.

Ks. metropolita Sembratowicz — jak donosi *Politische Correspondenz* — znajduje się na liście dostojników kościelnych, którzy na najbliższym konsystorzu mają otrzymać godność kardynalską. Ponieważ jednak liczba kandydatów jest znaczną, możebnem jest, że ks. metropolita otrzyma purpurę dopiero na jednym z późniejszych konsystorzy.

Uczestnicy wycieczki z Galicyi na wystawę poznańską udali się we wtorek rano do Gniezna, gdzie na dworcu powitał ich znaczny zastęp obywateli. Po zwiedzeniu katedry i spożyciu śniadania wyruszyli goście do Inowrocławia, dokąd przybyli o pierwszej w południe. Na dworcu przyjął ich komitet. Z dworca do miasta jechali wszyscy pojazdami, dostarczonymi przez obywatelstwo. Do obiadu w hotelu Basta (p. Stachowskiego) zasiadło 150 osób. Przy stole powitali gości mową pp. Grabski i Dembiński. Krótko przed trzecią ruszyło całe towarzystwo do Kruszwicy osobnym pociągiem. Przybywszy tam, udali się wszyscy pod Myszą Wieżę. U podnóża jej przemówił gorąco, serdecznie i wymownie dr. T. Trzciński z Popowa, witając gości i dziękując im za przybycie do Kruszwicy i na kujawską ziemię. Po nim mówił rektor Dziwiński; dalej przemawiali gospodarz Bojko z Galicyi, gospodarz Mazgaj z Chełmiec, Juliusz Starkel i Kostecki, ten ostatni po rusku. Udano się na parowce przybrane w kwiaty, zieleń i chorągiewki. Obydwa parowce szczelnie były zapełnione. Przejażdżka po Gople trwała przeszło dwie godziny. Drogą, prowadzącą do parowców, most, pomost i kościół ubrano również obficie w zieleń, girlandy i kwiaty.

Podczas przejażdżki śpiewano polskie i ruskie pieśni. Oba statki przybyły do pomostu urządzonego tuż u stóp kościoła. Tam wśród bardzo licznie zgromadzonego ludu oczekiwał na gości ks. prałat Goebel i wygłosił ich wymownie — następnie wprowadził do kościoła, gdzie dawał wszelkie wyjaśnienia i pokazywał liczne zabytki starożytności, jakie się w tej świątyni znajdują. Poczem udano się do pomieszkania p. Walżyka, dyrektora cukrowni, który podejmował gości. W ogrodzie do stołów suto zastawionych zasiadło przeszło sto pięćdziesiąt osób. Wieczerza przeciągnęła się do godz. $\frac{1}{2}$ 11. Podczas niej nie ustawały toasty. Żegnani serdecznie wyruszyli goście do Inowrocławia. Tu nastąpiło pożegnanie. Prawie wszyscy uczestnicy wycieczki pozostali na noc w Inowrocławiu, skąd nazajutrz o godz. 9 rano wyjechali do Gdańska, dla zwiedzenia miasta i wszelkich tamtejszych osobliwości, a zwłaszcza kanalizacyjnych. Reszta udała się do Poznania, dążąc z powrotem. W Mogilnie „Sokoły" z p. Starkiem na czele, oraz wielka liczba publiczności żegnała gości. Cały tor przed dworcem oświetlony był pochodniami.

Katastrofa w Brüx. Telegramy doniosły nam już o strasznej klęsce, która nawiedziła niemieckie miasto Brüx — po czesku zwane Gniewin — położone w północnych Czechach nad granicą czeskosaską, a słynne z obfitych kopalń węgla. Jest to miasto powiatowe, liczące 11.000 mieszkańców. W kopalniach tamtejszych, których kilka sięga aż pod samo miasto, wydarzyły się, zwłaszcza w ostatnich latach, już kilkakrotnie powodzie i zalewy, które znaczne wyrządziły szkody materyalne, jenak dotychczas nigdy bezpośrednio nie zagrażały miastu samemu. W zeszłą sobotę atoli przerwała się w kilku miejscach pod miastem tak zwana kurzawka — piasek pływający — pociągnęła za sobą górne stałe warstwy ziemi, wskutek czego powierzchnia w miejscach tych głęboko się zapadła. Dwadzieścia i pięć domów runęło tak, że przedstawiają dziś nieforemne kupy gruzów, ośmnaście innych domów zburzonych zostało częściowo, a trzydzieści dziewięć jest tak uszkodzonych, iż mieszkańcy coprędzej opuścić je byli zniewoleni. W zupełnie zapadłych domach mieszkało 236 rodzin, liczących 1012 osób, w zburzonych częściowo 25 rodzin, czyli 411 osób, a w uszkodzonych 123 rodzin, czyli 1039 głów, tak, że razem 2462 ludzi pozostało nagle bez dachu nad głową, straciwszy prawie całe mienie swoje. Tor kolejowy linii łączącej Cieplice z Uściem nad Łabą, zapadł się na obszarze 20 metrów na 15 metrów głęboko, wskutek czego komunikacya kolejowa jest przerwana.

Świadkowie naoczni opisują przebieg katastrofy jak następuje: Już w piątek wieczorem przerwała się w szybie „Anny" kurzawka z taką gwałtownością i mocą, że zniszczyła część szybu. Jeden z górników stracił przy tem życie, reszta zdołała się ocalić. Szyb „Anny" tworzy z szybami „Matyldy" i „Karoliny" wielki kompleks kopalniany, który rocznie dostarcza pięciu milionów metrycznych centnarów węgla brunatnego, i był już w roku 1890 widownią podobnego nieszczęścia, przy którem 30 górników straciło życie. Szyb ten oddalony jest od miasta o blisko ćwierć mili, zagrażające mu atoli pokłady kurzawki łączą się bezpośrednio z pokładem tej samej formacyi pod miastem. To też, gdy masy pływającego piasku spłynęły do kopalni, głębie przez nie opróżnione zajęły natychmiast dalsze napływy z pod miasta, gdzie znów powstały próżnie, w które runęły górne warstwy ziemi. Wiadomość o nieszczęściu w kopalni zaniepokoiła wprawdzie mieszkańców miasta, ale jeszcze nie przypuszczano, iżby katastrofa tak wielkie miała przybrać rozmiary i żeby miastu zagrażała. Tymczasem w piątek o godzinie 10 wieczorem zgasło nagle w całem mieście światło gazowe. Mieszkańcy sądząc, że w gazowni zaszedł nieszczęśliwy jaki wypadek, wybiegli na ulicę, tu atoli dowiedzieli się, że przy ulicy Dworcowej zapadł się nagle dom podwórzowy kupca Hinkego i że na tejże ulicy powstał trzy metry szeroki otwór, z którego wydobywa się woda. Wtedy dopiero poznano, że przyczyną zapadnięcia się ziemi jest odpływ kurzawki ku kopalni „Anny". Natychmiast rozporządzono, aby wszyscy mieszkańcy domów przy ulicy Dworcowej opuścili swe mieszkania, i temu rozporządzeniu zawdzięczają setki osób swe ocalenie, bo zaledwie znalazły się na ulicy, gdy jedna kamienica po drugiej z ogromnym łoskotem rozpadać się zaczęły w gruzy. Równocześnie powstało kilka nowych szczelin i czeluści. Hotel Sigla i przyległa kamienica Wyszorowskiego zapadły się w jednej chwili tak głęboko, że tylko dachy sterczały ponad powierzchnią ziemi, a równocześnie z gruzów hotelu buchnęły płomienie, które wnet przeniosły się na sąsiednie kamienice. Pożar powiększył jeszcze zamięszanie ogólne. Także na ulicy Jonnsdorfskiej zaczęła się obsuwać ziemia, pociągając za sobą kamienice. Światło gazowe zgasło zaś z tego powodu, ponieważ zapadające się warstwy ziemi zgniotły rury główne.

Z wszystkich tych domów, zapadłych w nocy, mieszkańcy nic prócz życia ocalić nie zdołali. Na domiar złego zaczął padać deszcz ulewny. Wielu mieszkańców pouciekało z mieszkań bez odzieży, ci naturalnie cierpieli najbardziej, ponieważ w pierwszej chwili nie wiedziano, gdzie ich ulokować, — bo łatwo być mogło, że i nie ulice spotka taki sam los smutny. Była to noc okropna. Setki ludzi przebiegały z krzykiem i płaczem ulice, rodzice szukali dzieci swoich, dzieci rodziców. Jakkolwiek, gdy pierwszy popłoch minął, otworzono dla nieszczęśliwych budynki szkolne, ratusz i zabudowania browaru miejskiego, wielkie jeszcze tłumy zapełniały rynek i ulice, bo trudno było w tych kilku budynkach wszystkich pomieścić. Zapadanie się ziemi trwało aż do soboty południa, poczem ustało zupeł-

---

4)

Walka islamu z chrześcijaństwem.

Wrażenia z Afryki.

(Dokończenie).

To badanie kwestyi, tak mało w Europie znanej, wywołane chęcią przedstawienia jej naszym czytelnikom, oparte jest na zdaniu ludzi fachowych, wysoko wykształconych i dobrze obznajomionych z walką, przeciw chrześcijaństwu przez islam podjętą. Dodać tu jeszcze wypada, dla zakończenia, osobiście doznane przez nas wrażenia w stosunkach z Arabami w życiu prywatnem.

O Arabach ze sfer wyższych mówić nie warto, — ci wszyscy bowiem są uniżonymi sługami rządu francuskiego, który ich popiera, żywi i dogadza ich próżności. Ale oto dwa fakta.

Jednym z dobrze znanych mi Arabów był Sidi-Karol. Kardynał mię z nim zaznajomił i polecił jako mogącego mi być pożytecznym w obznajomieniu się z miejscowymi stosunkami w Tunisie. Sidi-Karol był jednym z arabskich chrześcijan, których kardynał werbował między sierotami, opuszczonemi od kolebki i których był zawsze ojcem chrzestnym i opiekunem. Kardynał ożenił Sidi-Karola z młodą Francuzką z Bordeaux i wyposażył go ślicznym folwarkiem, a raczej ogromnym ogrodem i winnicą, w pobliżu swojej rezydencyi w Marla pod Kartaginą. Sidi-Karol był ajentem kardynała w zbieraniu różnych wiadomości w świecie arabskim. Z tej misyi musiał się on dobrze wywiązywać, gdyż był to człowiek niezmiernie giętki i rozumny, a ojciec chrzestny okazywał zawsze wiele zaufania swemu chrześniakowi. Stosunki nasze były jak najlepsze, a chociaż w pierwszych chwilach naszego poznania Arab zawsze uważał się za niższego od osoby, którą kardynał swymi względami zaszczycał, pomału jednakże doszliśmy do pewnej poufałości i zwierzeń, zwłaszcza przy kieliszku, do którego, jako chrześcijanin, nie miał on najmniejszego obrzydzenia. Czasami starałem się naprowadzić Sidi-Karola na temat Snussyi i jej wielbicieli, ale zawsze zaniechać musiałem tego przedmiotu, gdyż taka ciekawość budziła jakąś pochmurność na czole Araba i zamykała mu usta. Jednakże razu jednego, zaproszony przezeń biletem na ucztę z powodu urodzin synka, Arab mocno sobie podochociwszy, kiedy całe towarzystwo poczęło się chłodzić pod cieniem granatów i pomarańczy, zatrzymał mię u stołu i pierwszy raz w życiu odpowiedział mi na kilka zapytań we wstrętnym mu przedmiocie. Im więcej Sidi-Karol się rozgadywał, tem więcej udawałem roztargnionego, wzrok mając zwrócony na zewnątrz tarasu, na którym ucztowaliśmy.

Nagle Arab wpadł w rodzaj zapału, przysunął się do mnie, wstrząsnął mojem ramieniem dla zwrócenia uwagi i półgłosem wypowiedział te słowa: „Ty podziwiasz kardynała, jego powagę, jego wzrok wymowny i tę pewność siebie, z jaką ujarzmia swoich słuchaczy... ale gdybyś ty widział proroka, wtedybyś dopiero zrozumiał, co Mahdi wypowiedzieć umie jednem spojrzeniem!"

Na wzmiankę o naczelniku Snussyi, mimowoli zwróciłem ciekawie oczy na Araba i zapytałem:

— Więc byłeś w Djer-Boub i rozmawiałeś z Mahdim?

Tutaj Arab oprzytomniał, piękne, czarne oko jego zapaliło się dziwnym jakimś blaskiem i przeniknęło mię aż do głębi serca. Sidi-Karol pięścią w stół uderzył i zawołał:

— Ja pijany, a ty mnie badasz... chrześcijaninie!

Dziwnie mi się jakoś zrobiło na sercu, szczęściem jedno z dzieci zapłakało boleśnie. Przez parapet ujrzałem, że „Slugi" (chart arabski) w swoich skokach przewrócił dwuletniego synka gospodarza, zbiegłem więc szybko po schodach, aby przyjść z pomocą malcowi. Całe towarzystwo nadeszło, niebawem i Sidi-Karol ukazał się między nami, a kiedym jednemu z murzynów, pracujących w fermie, polecił podprowadzić mi konia i pożegnawszy towarzystwo, już byłem na siodle, mój arabski gospodarz zatrzymał cugle, a drugą ręką opierając się na mojem kolanie, wymówił dobitnie: „Jedź z Bogiem, ale trzeba, żebyś pamiętał, że ja nigdy po za obrębem kolonij francuskich w Afryce nie byłem".

Od tego dnia stosunki nasze oziębły, Arab unikał rozmowy ze mną, a ja zadawałem sobie nieraz pytanie: czy Sidi-Karol nie był więcej zwolennikiem Snussyi, niż naszej wiary? Czy służąc za pośrednika kardynałowi, nie był w gruncie sługą i narzędziem „nowego proroka?"

Drugim Arabem, z którym codzienne zawiązałem stosunki, był Salem Hadżi Grima (Hadżi jest miano, które każdy muzułmanin ma prawo, odbywszy pielgrzymkę do Mekki, do swego nazwiska dołączyć). Salem był dozorcą zamieszkałej przezemnie Villi Federani, rodzaju forteczki, dużym parkiem otoczonej, a znajdującej się na ruinach ogrodów Annibala w Kartaginie. Salem był dragomanem i agentem inżyniera Warnasa, który przedemną z biurami swemi zajmował willę Federani, w czasie budowy sławnej kartagińskiej Cysterny, czyli rezerwuaru wód dla użytku miasta Tunisu i całego wybrzeża morskiego, a mianowicie: portu Goulety, Kartaginy i Marly, letniej siedziby beja, kardynała i rezydenta francuskiego. Salem, zagorzały zwolennik Snussyi, był niezmiernie inteligentnym i przedsiębiorczym, przy inżynierze Warnasie wyuczył się języka francuskiego, nabrał wyobrażenia o architekturze i w małych dostawach dorobił się dosyć okrągłego majątku. Zakupił kilkanaście koni, trudnił się transportami i pobudował młyn w wiosce Duar-Schott, która jest stacyą kolei Roubatino w Kartaginie. Ale Salem był niepiśmiennym. Widząc mnie w dobrych stosunkach z kardynałem i z władzami, które mi zleciły zrobienie projektu do ożywienia dawnej siedziby Annibala, Salem chciał się koniecznie do mnie i do moich planów przyczepić, nie żądając innej zapłaty, jak wyuczenie go czytania i pisania po francusku. Uczeń mój oddawał mi niezmierne usługi przy urządzaniu się; w poznaniu dokładnem okolicy i w najcięższych nawet robotach ogrodowych i stajennych, nigdy mię nie oszukał i nie zawiódł. W dodatku, od czasu do czasu udawało mi się wydobywać z niego ciekawe szczegóły o Snussyi. Salem lubił i pieścił dziatwę moją, dla której wymyślał najrozmaitsze niespodzianki i zabawy. Razu pewnego, kiedy trzymając na ręku najmłodszą moją córeczkę, zdawał się być w przystępie zwierzeń i opowiadał mi szczegóły o oazie Djer-Boub, zapytałem go znienacka:

— Powiedz mi, Salem, czy to prawda, że wyznawcy islamu marzą zawsze o wytępieniu chrześcijan w Afryce?

Arab się nieco uśmiechnął i po namyśle odpowiedział:

— Ja nic nie znaczę, wszystko zależy od woli Allacha i nowego proroka!

— Jakto! — zawołałem — więc gdyby Mahdi ci rozkazał zamordować dziecko, które lubisz i pieścisz, ty, który się mienisz być moim przyjacielem i od dwóch lat dajesz mi nieomylne dowody twojej życzliwości, miałbyś serce wykonać tak barbarzyński wyrok?

— Zastanów się i posłuchaj mnie — wyrzekł nader poważnie Arab. — Prawy wyznawca Koranu nie ma prawa rozważać i sądzić czynów swoich duchownych zwierzchników; nie powinien on i nie może mieć innego serca, rozumu i woli, jak serce, rozum i wolę proroka Snussyi. Zresztą chwila walki jest oddalona. Dziwię się tylko, że wy, co wierzycie w waszego Boga i w Chrystusa, lękacie się tak śmierci męczeńskiej, która otworzyłaby wam drogę do waszego nieba.

Sądzę, że to wyznanie wiary, tak naiwnie wyrażone przez szczerze nam życzliwego Araba jest dość dosadne.

A. Garbiński.

nie. Zdaje się, że kurzawka sama się zatamowała i że dalszego jej odpływu obawiać się na powodu. Zaraz też zabrano się do ratowania tego, co jeszcze dało się ocalić. Komunikacya miasta z okolicą jest bardzo utrudniona, ponieważ w skutek licznych dołów i szczelin tylko w jednem miejscu bezpiecznie do miasta dojść można. Braknie też podobno do wywożenia rzeczy ocalonych.

W szybie Anny dosięgła woda wysokości 100 metrów ponad powierzchnię morza, ale również już nie przybiera. Scen, jakie rozgrywały się podczas katastrofy, opisać trudno. Pewna kobieta, oczekująca lada chwilę rozwiązania, zniewolona była mimo trawiącej ją gorączki, dochodzącej do 39 stopni C., wśród deszczu zawlec się o własnych siłach na rynek, bo wszyscy tak byli zajęci sobą, że nikt nie dbał o innych. Właściciel hotelu Sigl, człowiek 70-letni, złożony ciężką chorobą, skonał z przestrachu. Dworzec i wszystkie budynki publiczne przepełnione są nieszczęśliwymi. Wskutek pęknięcia rur wodociągowych brakuje wody do picia i gotowania, — a nadto uczuwać się daje wielki brak żywności i odzieży. Pewien uczeń ślusarski zginął bez śladu, zdaje się, że zapadł się w ziemię. Wraz z domem spełnym Sigla zniknęła w czeluściach podziemnych żelazna kasa ogniotrwała, zawierająca cały jego majątek. O wydobyciu jej ani mowy być nie może, ponieważ za najmniejszem poruszeniem górne warstwy ziemi głębiej jeszcze zapaść się mogą. Ludzie zamożni stali się w jednej chwili nędzarzami. Zapadł się także gmach Towarzystwa, do którego należą kopalnie okoliczne, a wraz z nim kilka kas, zawierających znaczne sumy.

Akcya ratunkowa już w pełnym biegu. W niedzielę z różnych stron zebrało się blisko 50.000 osób na miejscu nieszczęścia. Rozmiary katastrofy są olbrzymie. Po za hotelem Sigla powstała czeluść obejmująca 200 metrów kwadratowych, a w pobliżu dworca nie mniej głęboka na obszarze 300 metrów kwadratowych. Po nad tą czeluścią wiszą w powietrzu pogięte szyny toru kolei żelaznej. Gmach dworcowy ocalał i sterczy jak skała wśród rozpadlin i przepaści.

Profesorowie Steiner i Suess uważają za jedyną przyczynę katastrofy przerwanie i poruszenie się kurzawki. Jest to piasek bardzo miałki, drobnoziarnisty, który zmieszany z wodą, tworzy rodzaj ruchomego błota i mieści się w głębokich i wielkich szczelinach między stałemi warstwami ziemi. Gdy się warstwę tę przebije, odpływa on natychmiast podobnie jak płyn z beczki i zalewa wszelkie próżnie, na które natrafi. Położone po nad kurzawką stałe masy ziemi opadają naturalnie w opróżnione szczeliny.

Straty, jakie poniosło miasto wskutek katastrofy, obliczają na 2,000.000 zł.

Komisya górnicza, która była na miejscu wypadku i badała pokłady ziemi, orzekła, iż miastu więcej nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

Wyścigi konne w Rymanowie. Dnia 28 b. m. w niedzielę odbędzie się w Rymanowie o godzinie 4-tej po południu w dworcu gościnnym zakładu kąpielowego, pierwsze walne zgromadzenie członków „Towarzystwa zachęty i wzajemnej pomocy w chowie koni" celem ostatecznego ukonstytuowania się, oznaczenia terminu wyścigów etc. Komitet założycieli stanowią pp.: Jan i Józef hr. Potoccy, Adam hr. Męciński, Wincenty hr. Łoś, Stanisław i Kazimierz Ostaszewscy, Józef hr. Załuski i jenerał książę Windischgraetz. Komitet energicznie wziął się do dzieła. Tor wyścigowy pod miastem 2300 metrów długości jest już na wykończeniu. Właściciele Rymanowa hr. Jan i Józef Potoccy ofiarowali tor i trybuny. Podczas wyścigów mają się odbywać wystawy i jarmarki koni, a dążnością powstającego Towarzystwa jest wszelkimi środkami rozwijać i podnosić chów koni w Galicyi, dopuszczając do współudziału tylko konie krajowe, chroniąc je przed konkurencyą koni innych prowincyi Austryi. Towarzystwo międzynarodowych wyścigów w Krakowie przystąpiło do Towarzystwa zachęty na wniosek pana Augusta Goryskiego jako członek nadzwyczajny. Położenie toru pod zakładem kąpielowym przy końcu okolicy ożywionej, daje wszelkie szanse szybkiego rozwoju Towarzystwa, któremu wobec jego tendencyi tylko szczęścia i powodzenia życzyć należy. Komitet „Założycieli Towarzystwa" zaprasza wszystkich hodowców i miłośników koni do przystąpienia do Towarzystwa.

Jubileusz ośmnastu księży. W kościele farnym w Matzleinsdorfie pod Wiedniem odbyła się dnia 22 b. m. piękna uroczystość 25letniego jubileuszu 18 księży archidyecezyi wiedeńskiej, którzy przed ćwierćwieczem otrzymali święcenia kapłańskie w tumie św. Szczepana. Piękny był szczególnie pochód jubilatów z probostwa do kościoła wśród kilku tysięcy ludu.

Majątek Stambułowa. W Sofii spisano inwentarz majątku pozostałego po Stambułowie. Aktywa wynoszą 260.000 fr., passywa 130.000 fr. długów hipotecznych i 50.000 fr. wekslowych. Pani Stambułow w najlepszym więc razie otrzyma kilkadziesiąt tysięcy fr. W obec tego wszystkie podnoszone przeciw Stambułowi zarzuty, jakoby się wzbogacił kosztem państwa są zupełnie bezpodstawne. Rodzina Stambułowa obawiając się o swoją całość, przeniosła się na stałe mieszkanie do Rumunii.

Z Krynicy otrzymujemy od tamtejszego zarządu zdrojowego pismo, prostujące kilka szczegółów, zawartych w korespondencyi *Przeglądu* z dnia 24 bm. W piśmie tem zapewnia zarząd, że nieprawdą jest, jakoby w łazienkach mineralnych był ścisk [illegible] w łazienkach borowinowych wydawano takie kąpiele borowinowe, w których się już dwie lub trzy osoby kąpały, jakoby zarząd dolewał do zbiornika zwyczajną wodę zamiast mineralnej, jakoby dowóz wody zdrojowej odbywał się nieregularnie, jakoby zarząd nie starał się o zabawienie gości, jakoby kuchnia w domu zdrojowym była zła, i wreszcie [illegible] same [illegible]. Tych szczegółów „jakoby" domaga się z naszej strony pewnego wyjaśnienia. I tak pierwsze z nich [illegible] korespondent [illegible] bytu, [illegible] w łazienkach borowinowych [illegible] nie mogąc [illegible] „jakoby", to [illegible] się na [illegible] który jest [illegible] w ogóle [illegible] zdrojowiska [illegible] smakuje [illegible] orkiestry [illegible] ktoś inny [illegible] orkiestry [illegible] sami [illegible] możemy [illegible] ordynar[illegible] któremu [illegible] bardzo [illegible] nie poj[illegible], jakie [illegible] w jasny

dzień w kompletnych negliżach rozkładają się taborem na lesistym wzgórku tuż obok miejsca, na którem gra orkiestra i uniemożebniają przyzwoitym ludziom pobyt w tej części zakładu. Sądzimy na koniec, że szczerem otwartem wytknięciem wszystkich tych niedomagań lepiej przysłużymy się rozwojowi Krynicy, aniżeli gdybyśmy pisali o niej same dytyramby.

Pożary. Dnia 52 b.m. spłonęło w Żurowie 22 zagród włościańskich i kościół.

Dnia 14 b. m. wybuchł pożar we Fradze w pow. rohatyńskim i zniszczył kilka zabudowań gospodarczych. Pastwą płomieni padły 2 konie, krowa i narzędzia gospodarcze.

Nowy Dioszegi. Do jednego z dzienników donoszą ze Starego Sącza, że pewien żandarm tamtejszy na śmierć zakłół bagnetem swego komendanta, który go od długiego czasu niesłusznie szykanował.

Niezwykły wypadek śmierci przez powieszenie zajmuje władze sądowe w Dobromilu. Oto we wsi Michowa znaleziono na wysokiej czereśni izraelitę Szulima Fuchsa, 21 lat liczącego, nieżywego, powieszonego za nogi. Zarządzono śledztwo.

Sen cara. W Stuttgardzie wyszła w tych dniach rosyjska broszura p. t. „Prawda o śmierci Aleksandra IIgo", z zapisek naocznego świadka, w której między innymi znajduje się następujący ustęp:

„Oficerowie, oczekując przyjazdu monarchy, (dnia 13go marca 1881 r.) wiedli między sobą ożywioną rozmowę, której przedmiotem — nihilizm. Jedni twierdzili, iż nihilizm już wymarł i że to już koniec wszelkim zamachom nihilistycznym; inni byli zupełnie odmiennego zdania. Nagle jeden oficer wyjął z kieszeni gazetę: *Kaukaz* i odczytał z niej następujące proroctwo, przedrukowane z tureckiego dziennika *Stambul*: Tłumacz snów Ali Effendi pokazał nam numer gazety „Shabach" z dnia 2 grudnia 1876 r., w którym znaleźliśmy następującą notatkę: Były rosyjski poseł w Konstantynopolu hrabia Ignatiew zawezwał do siebie Alego Effendiego i prosił go, aby mu wytłómaczył znaczenie snu, który miał car. Aleksander II widział we śnie dwa księżyce, jeden ciemny, drugi zaś bardzo jasny. Tłumacz snów objaśnił, że między Rosyą a Turcyą wybuchnie krwawa wojna; po niej zacznie się w Rosyi rewolucyjna agitacya, a po kilku latach car padnie ofiarą spisku Hrabia Ignatiew zapłacił Alemu za wytłómaczenie snu i uwiadomił o wszystkiem cara Aleksandra II".

Były prezydent związku szwajcarskiego, radca Schenk, zmarł w Bernie, skutkiem wypadku, jakiemu uległ przed kilku tygodniami; został on podczas przechadzki przejechany przez wóz i poniósł bardzo silne obrażenia. Urodzony w Bernie w r. 1823, p. Schenk był początkowo pastorem. Następnie rozwinął działalność polityczną jako radykalista i stał się jednym z najwybitniejszych mówców w swoim kraju. Był on reprezentantem kantonu berneńskiego w radzie jeneralnej, której został wiceprezesem w r. 1862. Od r. 1865 piastował kilkakrotnie godność prezydenta związku helweckiego. P. Schenk był stanowczym zwolennikiem polityki centralistycznej.

Stan powietrza. T. o 8 rano +17° R. w poł. +20 R. Bar. 766. Nieruchomy. Pogoda.

Aforyzmy polityczne.

Stambułow zmarły zabiera ks. Ferdynandowi, co mu dał Stambułow żywy.

Teatr. Dziś w piątek nie ma przedstawienia. W sobotę „Porwanie Sabinek", komedya w 4 aktach Fr. i Pawła Schönthanów. W niedzielę „Wicek i Wacek", komedya w 4 aktach Z. Przybylskiego.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** Ci, którzy zwabieni tytułem wczorajszej sztuki wybrali się do teatru, aby usłyszeć farsę, zawiedli się zupełnie w swoich rachubach, jakkolwiek zarówno tytuł, jak udział p. Frenkla w przedstawieniu, uzasadniały do pewnego stopnia takie przewidywanie. Trzyaktówka: „Mężowie ich córek", mimo nazwy, pozwalającej spodziewać się kilku zabawnych sytuacyi, okraszonych garścią dowcipów i pewną dozą musującego jak szampan, francuskiego humoru, jest komedyą ściśle obyczajową, która chwilami potrąca o satyrę, chwilami o dramat, a w całości odsłania nie nowy zresztą obraz towarzyskich i rodzinnych stosunków pewnej warstwy mieszkańców Paryża. Utwór ten, napisany przez zmarłego niedawno znakomitego krytyka i fejletonistę Wolffa, grano u nas dotychczas tylko w Warszawie ze średniem powodzeniem, a scena lwowska wprowadziła go wczoraj po raz pierwszy do swego repertoaru.

Komedya Wolffa odznacza się przedewszystkiem tem, że pozbawioną jest zupełnie błyskotliwych efektów, którymi tak chętnie posługują się najznakomitsi nawet przedstawiciele dramatu francuskiego, a chociaż pisana po francusku, ma w sobie więcej oschłego charakteru niemieckich sztuk obyczajowych, jak kolorytu i werwy, właściwej francuskim utworom tego rodzaju. Akcya toczy się w wolnem tempie, chwilami za wolnem nawet, jest za mało skonsolidowaną i ogółem wziąwszy robi wrażenie rzeczy, którą autor mógł pisać tak dobrze w chwili, gdy czuł potrzebę tworzenia, jak przy poobiednej czarnej kawie, otoczony kłębami wonnego hawanna. Z tem wszystkiem jednak, mimo widocznego braku staranności w robocie, kilka postaci wyszło plastycznie i wypukło, i jeżeli tylko odpowiadają rzeczywistym stosunkom obyczajowym Paryża, w co nie ma zresztą powodu wątpić, można tej komedyi wysłuchać z pewnem zajęciem.

Fabuły w „Mężach ich córek" prawie nie ma. Henryk Divoir, syn bogatego paryskiego mieszczanina, utracyusz i karciarz, człowiek pozbawiony wszelkich w ogóle dobrych instynktów, żeni się z córką operetkowej divy Zuzanną Berny dlatego tylko, że panienka ta, która jest tak zakochana w nim, jak on w swojem szulerskiem rzemiośle, posiada krociowy posag, będący smutnym owocem lekkomyślnego życia jej matki. Henryk, który przez pewien czas dla dopięcia swych planów udawał czułego kochanka, po ślubie szybko zrzuca z siebie maskę obłudy i oto po dwuletniem pożyciu widzimy małżeństwo Divoir w kompletnej dysharmonii z sobą, z tym jeszcze dodatkiem, że Henryk nadszarpnął już w znacznej części posag żony. Sceny małżeńskie stają się coraz gwałtowniejszemi, obustronne wyrzuty przybierają coraz ostrzejsze formy i pewnego dnia dochodzi do tego, że Henryk podrażniony sprzeczką znieważa wobec Zuzanny pamięć jej matki, robiąc z siebie bohatera, który nie wahał się swojem uczciwem nazwiskiem zasłonić hańbiącego pochodzenia żony.

Na chwilę zdaje się, że ostatnie węzły między małżeństwem Duvoir zostały zerwane. Henryk po rzuceniu żonie śmiertelnej zniewagi opuszcza dom i wychodzi do klasycznego „klubu", ona zaś w gwałtownym wybuchu rozżalenia stara się ukoić dotkliwą boleść, zadaną z ręki człowieka, który jej za tkliwe przywiązanie odpłacił brutalnym cynizmem i obelgą. Od sceny tej mija zaledwie dwanaście godzin. I oto, gdy ojciec Henryka, odczuwając podłość jego postępowania i krzywdę wyrządzoną biednej kobiecie, chce się go wyrzec, Zuzanna, spłakana jeszcze po nieprzespanej nocy, nietylko odrzuca stanowczo myśl o rozłączeniu się z mężem, ale dostarcza mu 10.000 franków na zaspokojenie karcianego długu.

Rolę starego Divoira, chwilami głęboko dramatyczną, grał świetnie p. Frenkiel, składając dowód, że talent jego nie zamyka się w granicach farsy i lekkiej komedyi, ale umie z siebie w potrzebie wydobyć całe skarby prawdziwego uczucia. Miłą tę niespodziankę powitała publiczność serdecznym oklaskiem, zwłaszcza po prześlicznie odegranej scenie z p. Kwiecińską w akcie trzecim. Bezpośrednio po p. Frenklu należy się szczere uznanie p. Gostyńskiej, która epizodyczną rolę babki Zuzanny, dość słabo związaną z przebiegiem komedyi, grała wybornie i zjednała sobie dwa razy rzęsiste brawa przy otwartej scenie. Małżeństwo Divoir grali pp. Hierowski i Kwiecińska, wywiązując się dobrze z zadania. Tłómaczenie sztuki, dokonane w Warszawie, pozostawia dosyć do życzenia, a z pewnością po raz pierwszy od czasu, jak istnieje literatura dramatyczna, użytem zostało porównanie: „jesteś zły i smutny, jak stara szlafmyca"

* **Kronika muzyczna.** Ruch artystyczny w zakresie muzyki, zwłaszcza scenicznej, był w ostatnich kilku tygodniach bardzo ożywiony, a z rozmaitych punktów Europy i Ameryki donoszą o wykonaniu mniej lub więcej udałych nowości operowych. Tym razem jednak berło pierwszeństwa — przynajmniej pod względem liczebnym — muzykalnej Italii wytrącili z rąk Niemcy, którym też należy się naczelna wzmianka. I tak, sama tylko opera monachijska zapowiada, że w przyszłym sezonie wprowadzi na repertoar cztery nowości, wyłącznie niemieckie, a mianowicie „Kunihildę" i „Til Ullsspiegel" Bawarczyka Cyryla Kistlera, „Dzieci królewskie" słynnego Humperdinka (libretto tym razem napisane nie przez siostrę kompozytora, ale przez kogoś innego wedle powieści utalentowanej autorki pani Rosner) i wreszcie dwuaktową operę Henryka Zöllnera, autora jednego z licznych „Faustów", pt. „Niespodziewany szturm", opartą na epizodzie z wojny francusko-niemieckiej. W Berlinie wykonano bez powodzenia operę Wilhelma Kienzla „Śpiewak ewangelii". Krytyka powiada o tym utworze, że jest antologią Mascagniego, Wagnera, Szumana i innych kompozytorów, ale przez powiększające szkła nawet nie można się dopatrzeć samego Kienzla. Natomiast gorąco została przyjęta w Wejmarze dwuaktowa opera Artura Roessla „Halimah". W wykonaniu jej brał udział nowy jakiś tenor Bruns, któremu przepowiadają sławę Tamberlika i Mierzwińskiego. Humperdink, prócz zapowiedzianych w Monachium „Dzieci królewskich", kończy swą operę „Wilk i siedem koźląt" znowu do libretta siostry p. Adeli Wette. W jesieni w teatrze w Bolonii ma być graną opera tenora wagnerowskiego Heydricha p. t. „Amen", w Berlinie zaś w tym samym mniej więcej czasie wystawioną będzie trzyaktowa opera Rueffera p. t. „Jugo". Wreszcie w Dreźnie wykonano pod batutą słynnego kapelmistrza Schucha odnalezioną w archiwach zamku hr. Esterhazego operę komiczną Haydna p. t. „Aptekarz", napisaną przed stu laty dla nadwornego teatru tego magnata Stare opery bywają czasem, jak stare wino, to też i ta nieznana dotąd pozostałość po znakomitym muzyku odznacza się humorem, werwą melodyi, a nawet pewną świeżością, które przy należnym pietyzmie dla Haydna, zjednały operze gorące przyjęcie Z pokrewnych rodzajów muzyki należy wymienić nowy balet Maurycego Moszkowskiego „Laurin". Wyjątki z tego utworu, a mianowicie „Sarabanda", „Marsz Elfów" i „Marsz karłów", wykonane przez drezdeńską kapelę dworską, zyskały ogólny poklask. Moszkowskiemu przynajmniej nie można nic zarzucić na punkcie wyboru motywów baletowych, ale są kompozytorowie, którzy pod tym względem dopuszczają się formalnych dziwactw. Wiadomo, że dzięki pomysłowości niektórych tych panów, tańczy już na scenie Atylla, Napoleon Bonaparte i Joanna d'Arc, obecnie kolej przyszła na Dantego. Pewien choreograf, niejaki Mersagora, wybrał sobie autora „Nieboskiej komedyi" na bohatera baletu i każe mu wykonywać *pas de deux* z idealną Beatryczą. Takiej popularności byłby sobie Dante z pewnością nie życzył.

Po Niemcach dopiero następują produkcye operowe innych narodów. W Nowym Jorku wzbudza ogólne zainteresowanie nowa opera Reginalda Koven p. t. „The Tzigane" (Cyganka). Rzecz dzieje się w roku 1812 podczas wyprawy Napoleona do Moskwy. Cyganka Wiera kocha się w pewnym oficerze Kazimierzu, ale w jego nieobecności zostaje gwałtem prawie poślubioną prostemu chłopu Wasylowi. Wiera sądzi, że jestto intryga ze strony wuja owego Kazimierza, i postanawia zemścić się. Zostaje śpiewaczką (intratna zemsta!), zdobywa miliony, sławę itd., i w końcu poślubia Kazimierza. Taka jest treść libretta, napisanego przez mr. Harry B. Smitha, który w oczach swoich rodaków musi zapewne uchodzić za znakomitego etnografa i znawcę stosunków rosyjskich, skoro tak śmiało szafuje Kazimierzami, Wasylami i tym podobnemi imionami, będącemi dla Amerykanów mniej więcej tem samem, czem jest dla nas egzotyczny Don Jose, toreador Espanillo, albo inni tego rodzaju bohaterowie. „Cygankę" Kovena grają w teatrze Abbeya z olbrzymiem powodzeniem, pomimo że muzyka ma być posklejana z rozmaitych znanych utworów, co jest tem prawdopodobniejsze, że synowie Albionu, równie jak ich zaoceanowi współplemieńcy — a p. Koven do jednego z tych dwóch odłamów należy — nie mają szczęścia do oryginalnej muzyki. Cóż zresztą mówić o sztywnych i prozaicznych Anglosasach, kiedy i artystycznym dzieciom Italii powija się czasami noga. We Florencyi w teatrze Pagliano wystawiono operę sign. Nicolo Masso p. t. „Eros" bez żadnego powodzenia. Obie strony medalu, tj. i muzyka i libretto zawiodły tym razem. Libretto pomysłu głośnej śpiewaczki Gemmy Bellincioni, a opracowane przez Golisciniamiego, okazało się nudnem i monotonnem. Muzyka melancholijna, jednostajna, nuży pomimo bogactwa kunsztownej instrumentacyi. Kompozytor, w pierwszych utworach („Salambo", „Hrabia Oste" i „Chassillon") zapowiadający talent samodzielny, nie rozwinął się niestety. „Eros" był jego śpiewem łabędzim, twórca bowiem umarł w styczniu rb., licząc zaledwie trzydzieści kilka lat życia. Czesi, którzy od wystawy wiedeńskiej zdobyli sobie dzięki Smetanie imię i rozgłos w świecie muzycznym, a nawet doczekali się tego, że ich najwięksi antagoniści Niemcy wcielili do swego repertoaru kilka oper czeskich, starają się teraz o laury w Ameryce, która zresztą wedle złośliwej anegdoty była przez nich skolonizowana jeszcze przed Kolumbem. Antoni Dworzak, jeden z niewielu „doktorów muzyki", od roku dyrektor konserwatoryum w Nowym Jorku, napisał świeżo kantatę *American Flag*, wykonaną w tem mieście ze średniem powodzeniem. Kompozycya składa się z luźnych scen, połączonych symfonicznemi intermezzami. Najwięcej uznania zyskała uwertura. W Pradze tymczasem kompozytor Zdenko Fibich, którego opera „Burza" nie schodzi z afisza Narodnego divadla, wykończył nowy utwór „Hedy". Libretto osnute jest na tle bajronowskiego „Don Juana". Nowość ta wystawioną zostanie w jesieni.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 24 lipca.

(Z.) Zanosiło się dziś z początku na to, że reakcya robić będzie dalsze postępy. Banki utrudniają bowiem spekulacyę we wszelkich walorach przemysłowych, żądając bardzo wysokiego pokrycia, a ponieważ i o gotówkę trudno, przeto sprzedaże przybrały wielkie rozmiary. Akcyi kredytowych rzucono odrazu przeszło 8000 na targ. Pomimo jednak tak niekorzystnego założenia, nastał w dalszym przebiegu pomyślny zwrot i kursa poprawiły się w porównaniu z wczorajszem zamknięciem. Poważne firmy skupowały bowiem wystawione na sprzedaż walory, a także Berlin zabierał dużo materyału wystawionego u nas na sprzedaż. W Berlinie sytuacya jest zupełnie odmienna od naszej, pieniędzy gotowych jest podostatkiem, a stopa procentowa w eskoncie prywatnym obniża się pomimo ultima. Zaniepokojenie polityczne ustało, do czego niemało przyczynił się inspirowany widocznie artykuł *Nordd. Allg. Ztg.*, oceniający wypadki bułgarskie chłodno i zadający kłam proroctwom o prawdopodobnym wybuchu wielkich komplikacyi. Cedułka dzisiejsza wykazuje zwyżkę w papierach bankowych i w rentach, przemysłowe natomiast i dziś straciły na kursie.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 397·10, węgierskie 484·—, Anglobanki 173·50, Uniony 349·—, Bankvereiny 164·60, Länderbanki 275·40, Ludwiki 223·25, Czerniowieckie 320·50, Elbethale 294·—, Renta papierowa 100·60, srebrna 100·80, austryacka złota 123·75, 4% austr. renta wal. kor. 101·05, węgierska złota 123·20, 4% węgierska renta wal. kor. 99·85, dukat 5·73—, 20-frankówka 9·64, marki 11·87, ruble 1·29 ½.

Wiedeń 24 lipca. Spirytus 16·70—16·80.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 36 lipca. Izba panów na wczorajszem posiedzeniu przyjęła cały budżet w trzeciem czytaniu, tudzież wszystkie przedłożenia załatwione przez izbę poselską, między innemi projekty ustaw o ulgach podatkowych dla pożyczek Lwowa i Nowego Sącza. Krótka debata wywiązała się przy pozycyi na gimnazyum cylejskie.

Imieniem lewicy protestował dr. Unger przeciw utworzeniu tego gimnazyum, ale nie żądał wykreślenia tej pozycyi, aby nie przewlekać uchwalenia budżetu. Do protestu tego przyłączył się hr. Meranu — hr. Falkenhayn zaś wystąpił w obronie gimnazyum cylejskiego.

Po wyczerpaniu porządku dziennego oświadczył hr. Kielmansegg, że z polecenia Cesarza odracza sesyę.

Cheb 26 lipca. Dr. Plener pożegnał się wczoraj z wyborcami swymi z tutejszej izby handlowej. Przy tej sposobności miał mowę, w której poruszył także kwestyę cylejską. Początkowo lewica nie miała zamiaru robić z tej sprawy kwestyi gabinetowej i zamierzała pomimo uchwalenia tej pozycyi pozostać w koalicyi, wszelako agitacya z zewnątrz sprawiła, że o Cyleę rozbiła się koalicya. Wreszcie oświadczył p. Plener, że przyjmuje obecnie urząd państwowy dlatego, aby nie być bezczynnym.

Wyborcy wręczyli p. Plenerowi adres dziękczynny za jego długoletnią działalność.

Wiedeń 26 lipca. Prezydent kolei państwowych dr. Biliński powrócił tu wczoraj z podróży inspekcyjnej po Galicyi.

Urzędowe sprawozdanie o handlu zagranicznym monarchii konstatuje, że import do Austro-Węgier w czerwcu b. r. był o 3 i pół miliona zł. wyższy od eksportu. W pierwszem półroczu b. r. wynosił import 365,400.000 zł., eksport 348,000.000 zł., zatem *passivum* bilansu handlowego wynosi 17,400.000 zł.

Rzym 26 lipca. W Izbie poselskiej, odpowiadając na interpelacyę w kwestyi poselstwa abisyńskiego do Petersburga, odpowiedział minister spraw zagranicznych Blank, że powtórzyć może tylko to, co już rzekł poprzednio na taką samą interpelacyę Imbrianiego, że mianowicie wszystkie mocarstwa uznały traktat włosko abisyński i że zatem Rosya, przyjmując teraz poselstwo abisyńskie, interesuje się tylko kwestyami religijno-prawosławnemi. Co zaś do Menelika, to zachowanie się jego jest nielegalne i poprostu zdradzieckie. Jednakże Włochy potrafią utrzymać swoje stanowisko w tej części Afryki i już wspólnie z innemi mocarstwami przedsięwzięły środki dla powstrzymania przemytnictwa broni.

Petersburg 26 lipca. W sprawie abisyńskiej sfery tutejsze zwracają uwagę na następującą okoliczność: że traktat, zawarty między rządem włoskim a negusem Menelikiem 23 października 1889 w mieście Ucziali, głosi wyraźnie, że Menelik z g a d z a s i ę korzystać z usług włoskiego rządu w stosunkach z obcemi mocarstwami, a nie powiedziano w nim, że jest o b o w i ą z a n y używać tego pośrednictwa. Nadto rząd rosyjski, Stany Zjednoczone i Turcya nigdy nie uznały tego traktatu. Owszem, zmarły minister Giers oficyalnie oświadczył włoskiemu posłowi 18 grudnia 1889, że ten traktat wywołuje ze strony Rosyi „quelques observations" (kilka uwag). W następnym roku, mianowicie 22 stycznia 1890, rosyjski poseł w Rzymie poczynił rządowi włoskiemu ustne uwagi o tym traktacie. W odpowiedź na to, Crispi w kilka dni potem wystosował do niego urzędowe pismo, w którem znajdują się następujące wyrazy: „Nous sommes convaincus, que la Russie n'aura aucune difficulté à reconnaître l'etat de choses, que nous avons notifié". (Jesteśmy przekonani, że Rosya nie znajdzie żadnych trudności do uznania stanu rzeczy, o którym jej donieśliśmy). Rosya nic na to nie odpowiedziała. Z tego jasno wynika, że rząd petersburski nigdy nie uznał żadnych specyalnych stosunków między Abisynią a Włochami.

Wiedeń 26 lipca. *Corriere di Gorizia* ogłasza pismo hr. Fr. Coroniniego, w którem on oświadcza, iż składa swój mandat posła do Rady państwa.

Ischl 26 lipca. Hr. Gołuchowski odwiedzi dziś ks. Hohenlohe, niemieckiego kanclerza, bawiącego w Aussee.

Bochum 26 lipca (Westfalia) W szybie „Książę pruski" wskutek wybuchu gazów zginęło 30 górników a 9 jest ciężko rannych.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 25 lipca Ks. W. hr. Wiśniewski z Krystynopola. M. Szymański z Brzeżan. S. Milewski z Bilczy. Dr. P. Seifmann z Krakowa. M. Bogdańska z Władypola. E. Münz ze Stanisławowa. H. Wachtel z Krakowa. M. Dolleschal z Czerniowiec. Ks. S. Lewicki z Firlejówki. M. Moszczański ze Siczy. M. Czernecka z Dobrzan. Dr. L. Mikulski z Wołynia. J. Marek z Podwołoczysk. J. Krzysztofowicz z Mondzelówki. Dr. W. Weygert z Podlisek. S. Daukner z Wiednia.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 25 lipca. M Szaszkiewiczowa z Wołynia. J. Siegler d'Eberswald z Krzeszowic. P. Tyszkowski z Rybotycz. Dr. M. Straszewski z Krakowa. Dr. K. Kobryniec z Brzeżan. K. Zenowicz z Podola ros. W. Bartz z Wołynia. K. Drahanowsky z Kamionki Strumiłowej.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 26 lipca (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 222·— do 225·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 320.— do 324·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 440.— do —.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250 — do 260. —.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100·60 101·30, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·70 do 101·40, Banku kraj. 4 proc los. 57 lat. 98·— do 98·70 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·20 do 98.90, 4 proc. los. w 56 lat. 98·10 do 98·80.

Wiedeń 25 lipca. Notowania wieczorne. Kredyty 397·75, węgierskie kredyty 486·00, anglobank 174·50, bankverein 166·60, unionbank 350·50, länderbank 278·25, staatsbahny 428·75, lombardy 110·62, elbethale 296.50, akcye tytoniowe 237.00, rima 286·50, alpiny 93.70, renta majowa 100.60, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna —.—, losy tureckie 78·80, węg. renta koronowa 99.85, marki 59.47, ruble 129.78.

Wiedeń 26 lipca (godz. 11 w południe). Kredyty 398.—, kred. węg. —.—, Anglobanki 174.50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 278·70, Akcye tyton. —.—, Staatsbahny 428.75, Lomb. (z kup.) 111.75, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 59.45, Losy tureckie —·—.

42)

DWIE KUZYNKI

POWIEŚĆ

przez **Katarzynę Green.**

(Przekład z angielskiego)

(Ciąg dalszy).

— Postaram się, aby pokój pański był gotów jaknajprędzej — rzekła, wracając do saloniku. — Tymczasem roztasuj się pan tutaj. Wszelkie przyrządy do pisania znajdziesz pan na biurku.

Przysunęła je do krzesła, na którem siedziałem i wskazała mi jedną z szuflad.

— Dziękuję pani — odparłem — mam wszystko, czego mi potrzeba w walizie.

Otworzyłem ją spiesznie i wyjąłem neseser podróżny, który brałem zawsze ze sobą w drogę.

— A więc pozostawiam pana samym.

Słyszałem jak przechodziła przez sień i poszła na górę.

XXVIII.

Pozyskuję ważne papiery.

Przedewszystkiem rozejrzałem się po pokoju. Był to salonik, wesoły, umeblowany wygodnie i schludnie, na posadzce rozłożony był dywan, na ścianach wisiały drzeworyty i obrazki, u okien zwieszały się bielutkie firanki; miłe wrażenie sprawiały rośliny w doniczkach i bukiety polnych traw i paproci. W jednym z rogów stał fortepian, przed kanapą stół przykryty dywanem i zastawiony rozmaitemi cackami, niezbyt drogiemi, lecz ozdobnemi.

Takie sprzęty i sprzęciki można było spotkać w wielu domach prowincyonalnych; same przez się nie były godne uwagi, lecz z ich ustawienia próbowałem poznać charakter gospodyni domu. Więc przyglądałem się obrazkom na ścianach, książkom w bibliotece, numerom na etażerkach, w nadziei, że zaświadczą o obecności Hanny w tym domu.

Biblioteczka zajmowała jeden z rogów pokoju. Były tam książki doborowe, dowodzące pewnej wiadomości umysłowej, którą już poprzednio spostrzegłem w mrs. Belden.

Na chybił trafił, wziąłem jedną z książek — egzemplarz Byrona i otworzyłem ją. Ustępy wyrażające słodki smutek zaznaczono ołówkiem. Było to charakterystyczne.

Następnie przejrzałem koszyk z robotą; były tam między innemi pończochy, za małe i zanadto podarte, aby mogły należyć do mrs. Belden. Wyciągnąwszy je z koszyczka, oglądałem uważnie, w nadziei, że ujrzę znak jaki. Nagle drgnąłem. Na każdej pończosze wypisana była atramentem litera: „H."

Rad z takiego odkrycia, zasiadłem do pisania listów.

Zaledwie je ukończyłem, do pokoju weszła mrs. Belden z oznajmieniem, że kolacya podana.

— Oddaję panu mój pokój — rzekła — będzie panu wygodniej na dole.

Otworzyła drzwi, pokazała mi pokoik milutki, było tam łóżko, ogromne biurko i lustro w staroświeckich ramach.

— Umeblowanie bardzo skromne i niewygodne — mówiła, wskazując mi drogę do pokoju jadalnego — lecz mam nadzieję, że będzie panu wygodnie. Żyję sama dostatnio a i lokatorom moim niczego nie żałuję.

— Widzę to — rzekłem, spoglądając na zastawiony obficie bufet.

Uśmiechnęła się. Rozbroiłem już ją i zamierzałem z tego skorzystać.

Nie zapomnę nigdy wyrzutów, jakich doznawałem na myśl, że korzystam z gościnności tej zacnej kobiety w celu wyzyskania sytuacyi.

W twarzy jej widziałem, że chce mi coś powiedzieć, lecz się obawia.

Nagle w pokoju po nad nami coś zaszeleściało.

— Pani mieszkasz zupełnie sama? — zapytałem, zajadając kurczę. — Czy się pani nie boi?

— Jestem spokojną, nie mam w mieście wrogów. Każdemu, kto się do mnie zgłosi po zasiłek, daję zawsze, co tylko mogę.

— Sądziłem, że mieszkając nad samą drogą, bywasz pani niepokojoną przez rozmaitych włóczęgów.

— Żadnego z nich nie odprawiam bez opatrzenia, wedle możności. Jedynym moim zbytkiem: żywić i wspomagać biednych.

— Ale jest między nimi wiele próżniaków, którzy sami nic nie robią i psują tylko innych.

— I oni także są nieszczęśliwi.

— Zacna kobieta — pomyślałem w duchu — nie pojmuję, jakim sposobem dała się wplątać w tak brudną sprawę.

W chwili gdym kończył kolacyę, przyszło mi na myśl, że jeśli Hanna znajduje się w tym domu, mrs. Belden będzie musiała zanieść jej na górę co do zjedzenia; ogarnąłem okiem chleb i resztki kurczęcia, aby się następnie przekonać, czy nic nie ubyło.

— Wypalę cygaro pod werandą — oświadczyłem. — Potem zechce pani może przyjść do mnie na pogawędkę.

— Dziękuję — odparła żywo (na twarzy jej wyraźniej jeszcze odbiła się chęć uczynienia mi jakichś wyznań) — lecz nie potrzebujesz pan iść na werandę. Dym cygara nie szkodzi mi wcale.

— Wolę wyjść. Świeże powietrze mnie orzeźwi.

Co prawda, chciałem zobaczyć Byrda, czując, że najmniejszy ślad jego obecności doda mi odwagi. Lecz napróżno chodziłem po werandzie.

Byrd nie dawał znaku życia.

Powróciwszy do mrs. Belden (przed chwilą widziałem ją schodzącą do kuchni z pustym półmiskiem) postanowiłem wyczekiwać, czy sama nie powie mi czego, a jeśli tego nie uczyni, ułatwić jej wyznanie.

Lecz przyszło ono prędzej i było zupełnie inne niż sądziłem.

— Jesteś pan, o ile mi się zdaje, prawnikiem — zaczęła, robiąc pończochę.

— Tak, pani.

Milczała chwilę, gubiąc oczka, wreszcie głosem drżącym spytała:

— W takim razie zechcesz mi pan może udzielić porady. Znajduję się w wielkim kłopocie... z którego sama nie wiem, jak wybrnąć, a muszę jednak działać pośpiesznie. Chciałabym pana o coś zapytać, ale nie śmiem. Czy pan pozwala?

— Ależ naturalnie, miło mi będzie udzielić pani wszelkich informacyj.

Odetchnęła swobodniej.

— Przedstawię panu moję sprawę w kilku słowach. Mam w posiadaniu papiery, powierzone mi przez dwie damy pod warunkiem (który przyjęłam), że się tych papierów nie pozbędę ani też ich zniszczę bez zezwolenia obu dam, wyrażonego ustnie lub piśmiennie.

— Cóż dalej — rzekłem, widząc, że się waha.

— Otóż właśnie dostałam list od jednej z tych dam, najbardziej interesowanej w tej sprawie. Pisze mi, że zniszczenie natychmiastowe tych papierów koniecznem jest dla jej spokoju i bezpieczeństwa.

— I chcesz pani wiedzieć, jak powinnaś w tym razie postąpić.

— Tak.

Powstałem. Nasuwało mi się na myśl tysiące przypuszczeń.

— Obowiązkiem pani — rzekłem — jest nie niszczyć tych papierów pod żadnym pozorem, dopóki nie zostaniesz pani zwolnioną z obietnicy przez obie damy.

— Takie jest zdanie pańskie, jako prawnika?

— Jako prawnika i jako człowieka. Skoro pani raz dałaś słowo, musisz go dotrzymać. Choćby z zatrzymania tych papierów wynikły smutne następstwa, nie zwalnia to pani z obietnicy. Zresztą nie możesz pani ręczyć, że osoba interesowana pisze prawdę, a niszcząc papiery bez zezwolenia drugiej damy, mogłabyś sprowadzić większe nieszczęście, niż pozostawiając je nietkniętemi, wedle poprzedniej umowy.

— Ależ okoliczności zmieniają fakta i zapatrywania. Zdaje mi się, iż życzenie osoby, bardziej zainteresowanej w tej sprawie, powinno być wzięte pod uwagę, zwłaszcza jeśli pomiędzy damami zachodzi nieporozumienie, powodujące może opór drugiej osoby.

— Nie — odparłem stanowczo. — Dopuszczając się niesprawiedliwości, nie spełnia się nigdy dobrego uczynku. Powinnaś pani zachować te papiery, mrs. Belden.

Zwiesiła głowę. Widocznem było, iż pragnęłaby się przychylić do życzenia osoby interesowanej.

— Prawo jest surowe — szepnęła — bardzo surowe.

— To nietylko prawo, ale obowiązek. Przypuśćmy wypadek innego rodzaju. Przypuśćmy, iż szczęście i honor drugiej damy zależy od zachowania tych papierów. Jakbyś pani wówczas postąpiła?

— Ale...

— Umowa jest umową, niepodobna wykonywać jej częściowo. Przyjąwszy depozyt i dawszy słowo, powinnaś go pani dotrzymać ściśle. Oddanie lub zniszczenie tych papierów bez zezwolenia obu dam byłoby zdradą położonego w pani zaufania.

Na twarzy jej odmalował się wielki smutek.

— Zdaje mi się, że pan masz słuszność — oświadczyła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Wacław Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.